

Liciński Ludwig

Z PAMIĘTNIKA WŁÓCZĘGI

NIEWIDOMY I SZATAN.

Pamiętnik włóczęgi.

Gdy tylko wykładowcy gimnastyki i katechizmu wyszpiewowali we mnie twórcę, przywołali natychmiast stróża, który miał już wydłubane oba oczy i kazali mnie odprowadzić do domu.

Niewidomy popychał mnie z pogardą winną delikwentowi, który nie może być już ani doktorem, ani adwokatem.

Żal mi się zrobiło ślepcą, który za cenę całozyciowego kalectwa obsługuje miejscową etykę, — bratnią doń rękę wyciągnąłem i rzekłem:

— Jaki ty biedny!...

Od strachu zatrzęsł się bezoki i nogę mi przydeptał, abym się wydrzeć nie mógł jego pieczy. Odtąd, gdy o odciski me zawadzą ślepi, w gromady księży i cyrulików spędzeni, wżgardliwą litością rozbijam ich wesołość i doli ich żałuję. Lecz wtedy czułem tylko ból w przydeptanej nodze i zaciśniętą w obie pięści nie-

nawiść. Stróż wepchnął mnie do pokoju mego rodzicielskiego domu, niosąc za mną czarny atestat moich przeznaczeń.

Ojciec spojrział, odczytał w jednej chwili wszystko.

— O, ojcze, ojcze! czemużeś wtedy mej potęgi nie przesylabizował?

Bałem się, że mnie bić będą... Oczy pod stopy ojcowskie chowałem. Trwożył wyrostka wstyd siepanego różgami ciała.

Ale ojciec, w ambicji swej zabity, nieruchomo siedział — smutek sfałdowany bielił mu policzki.

— Złamana karjera, zwichnięty los...

Tyle tylko z ust jego słyszałem.

A matka chustką łzy ocierała i patrzyła na mnie okiem wzmożonej bólem miłości.

— Co będzie z ciebie, synu niedobry?

I tak łkała żałośnie, aż jej płaczu szelesty wtargnęły do dziewiczego pokoju sióstr moich.

Wybiegły z włosami kwieciami i wstęgami przytykanymi; wybiegły takie niewinne, a tak już wtedy życia jarmarkowi zaprzędane.

— Ładnie was urządził braciszek... Ze szkół go wydalili — rzekł ojciec.

Spojrzwały na mnie z wyrzutem i odeszły

w milczeniu.

Tylko matka smutniejszą się jeszcze stała
i zapłakała głośniej.

A ja zdziwiłem się, czemu siostry odwracają
się ode mnie, czemu ojciec nieruchomo siedzi
i czemu płacze matka?

Słyszę ten płacz po latach wielu — deszczami
wspomnień perli się na moim czole — i dziwię
się — i smutno mi za te łzy i za te matki, co
nad synami nie płakać nie umiały.

Wyszedłem z domu... Wiosna śniegi topiła
i wód spienionych grzywą deptała po trawach...
Zaszeptał bór...

Pod nieba otwartą bramą stałem jak posąg
z mgieł i marzenia — ręce do wodnic wycią-
gałem tęskne, a one srebrzyły się w szumach
i biegły jak drżące fantazje z alabastru.

Młode orzeźwione lasów złotostruny zrzu-
cały zimną odzież śniegów, wyginały ku mnie
objęcia utęsknione, księgę natury mym oczom
roztwierały.

Z lękiem, z pokorą, z zachwytem — karty
jej czytałem.

A tam w zatęchłych murach zatęchłego

miasta rówieśnicy moi uczyli się katechizmu
i gimnastyki.

Wróciłem z pierwszej wycieczki... Obuwie
miałem przemoczone, lecz w oczach iskry się;
zatlily... Ojciec uląkł się widocznie, że mu za-

dużo wiosny pod jego dach wnoszę, uląkł się tych iskier w mych źrenicach.

— Gdzie byłeś? — spytał groźnie.

Szesnaście lat miałem zaledwie, nie umiałem być jeszcze winowajcą, ani obrońcą swej słuszności, oczy na dół spuściłem i ukryłem się przed ojcem w milczeniu. Odtąd chowałem się już przed nim zawsze; ani razu twarzy mu nie pokazałem.

— Spójrzyj, jak wyglądasz — mówił. W lustrze się przyjrzyj. Cały w błocie. Niczem włóczęga. Ludziom wstyd pokazać.

Na palcach wyszedłem do pokoju sióstr, które układały właśnie z przyjaciółką jakąś zabawę taneczną.

Ale Stacha, ukochana Stacha, fantazji mej królewna, nie podała mi ręki na przywitanie.

— Słyszałam, że pan już skończył gimnazjum — rzekła z uśmiechem.

— Tak, pani! — odparłem... — z odznaczeniem.

Jedna z sióstr moich, której nerwowość nie znosiła parnego powietrza i omijała wszelkie wyboje, chciała zrobić miłą rozmowę.

— Wiesz? — rzekła — ważyłyśmy się dziś ze Stachą.

— Tak? Ile też panna Stanisława waży?

— Wyobraź sobie: tylko funtów.

Tego dnia w prowadzonym przeze mnie od niedawna pamiętniku zapisałem: „Waga żywego

anioła równa się stu trzydziestu siedmiu funtom
mięsa".

Tegoż dnia długo w noc zasnąć nie mogłem.
Słyszałem przez ściany gaszonych świec pod-
muchy... Później cisza nastąpiła... Falowały tylko
głośnego snu oddechy, co przywalały kamieniem
kłopoty o synu marnotrawnym...

Myślałem o czerwonym ślepiu jakiegoś ługu
pod lasem. Myślałem o pianach srebrzących
się u mych stóp... Myślałem o wiosnie, która na
me spotkanie wyszła, jak dobra kochanka...
A później myślałem o wadze aniołów ży-
wych... I długo w noc zasnąć nie mogłem, bo
zdało mi się, że jedna mrąca dziewczyna kawał
mi duszy wydarła i rzuciła ze śmiechem precz za
okno. Zerwałem się z łóżka i przez szkła szyb

szukałem mego anioła złego, by nie odchodził
ode mnie, a cisze patrzyły w me oczy przez
jasność miesięczną; patrzyły w me oczy smut-
ne, pierwszy raz śmiercią rozdarte. Noc całą
przemyslałem i noc całą myśli ponurych w ży-
cie me poniosłem.

A rankiem znowu słuchać wiosny poszedłem.
Na pola — w lasy!...
I tak było codzień...

A kiedy wiosna przemocy lata uległa, jam
się wsłuchiwał w palące jęki upałów, w połu-
dnic cisze złośliwe. Siadały na polach przycza-

jone i czoła ludzkie potem zlewały.

Czasami upiór taki w krew człowiekowi się wpijał, i padał człowiek na ziemię, jak badył, i to się chorobą nazywało. Rzucali go wtedy na barłóg szpitalny, albo czarami do pracy i postu powrócić go chcieli.

Człowiek ten nabierał sił znowu niekiedy i wracał do jarzma, częściej umierał... Ksiądz trumnę na cmentarz odprowadzał i wodą ją kropił brudną, za którą płacili ludzie całymi dobami pracy, choć mogli ją sami czerpać ze studni—i to symbolizowało Boga. Od trumien,

od cmentarzy ludzie znów nieśli ramiona pochyle do znojów, do pracy, zarazy i wojny, i wyciągali żuchwy do strawy i policzków.

Czasami w te szeregi pieśń zabłąkała się serdeczna, lub jakiś tłący płomyk padł na czoła, to ludzie tłumili je modlitwą i czapkami, bo bali się, że ogień pożre im domostwa.

Uchem i okiem larw tych dotykałem — na mojem niebie chmury się piętrzyły i z oczu łzy płynęły...

Krwawa ponura Zagadka Życia unosiła się nademną, jak Czarny Sfinks. W księgach mędrców zapragnąłem szukać jej wyjaśnień — wiedziałem, że uklęknę przed portykami myśli — o święte, niedościgłe księgi mędrców... Ale ojciec mój od chwili bankructwa nadziei, pokładanych we mnie, nie chciał mi kupić ani jed-

nej książki i podarł nawet elementarze szkolne. Tak samo zachowywał się wobec wszystkich moich potrzeb. Nie kupował mi ubrania, ani obuwia: strzepy na plecach nosiłem, a ludzie przechodzili obok i śmiali się wzgardliwie. Nienawiść mnie kąsać poczęła, rozdmuchał ją szatan, rozkrwawił: raz zmierzchem chwyciłem kamień i zabiłem ojcu jego ulubionego

psa. Upadł z jęklwym skowytem u nóg pana i nie wstał już więcej.
Wtedy ojciec wypędził mnie z domu.

Związałem bieliznę w tłomoczek i... w świat...
Szatan mnie poprowadził.

NIEDOKOŃCZONE POWIEŚCI.

Przeszedłem granicę dwóch państw, dwóch urągających „wiernym poddanym” olbrzymów. Po obu stronach las szeptał... Nigdzie śladu człowieka. Tętniały tylko niekiedy końskich kopyt odgłosy, lub zawarczały echa strzałów: to byli ci, co w imię „ojczyzny i wiary”, kulami w ojczyznę i wiarę innych celowali. Były to czasem relikwje ojczyste: srebrne, lub papierowe orzełki, emblematy państwa u-

marłego; czasem skaplerze, uszyte rękami chytrych mnichów; grudka ziemi z Romy prastarej, mająca krzepić ducha naiwnych niewolników; czasem świstek papieru ze słowem wypędzanem zewsząd; czasami jakieś drobiażdżki kupieckie: krawat na komorze celnej nie przedstawiony, lub wódka galicyjska.

Las szeptał... Po jednej stronie prawomyślnym byłeś i czczonym, po drugiej podejrzanym i ściganym; tu bohaterem byłeś, tam — zaprzańcem; tak było już oddawna: tu i tam — z dwóch stron lasu, który szeptał.

I było tak w formułkach i błahostkach, i było dla formułek i błahostek, które ludzie z baniek mydlanych do rozmiarów chmur wydymali i pod taka wydetą z banki mydlanej kopułą nieba się gnieździli, jak pod skorupką orzecha, — kadzidła, dzwoneczki, bagnety, — a na skorupkach napis był wyryty: Rosja, Austria...

Tak było zresztą wszędzie, tak było pod każdą skorupką... Dyplomaci nazywali je cesarstwami, królestwami, republikami, jeden tylko „andrus” warszawski, co jadem kultury się krztusił, leżał nad Wisłą i urągał: „na świecie, psia ich mać, drań draniem pogania”...

Nielicznym do smaku to było, liczniejsi jęczeli z pokoleń w pokolenia, ale ze mieli swoich kapłanów i armaty, liczni zadowoleni byli... Nieliczni tylko dusili się w tej cieśni... Niebardo

się tam kto z nimi porał. Brano ich poprostu,
jak piłeczki i hop! — z bagnetu na bagnet.
Tak było wszędzie i tak było z obu stron
lasu, który szeptał...

Trochę nie wiedziałem jeszcze o tem, tro-
chę przeczuwałem. Z tłumoczką na ramio-
nach do jakiejś galicyjskiej miejsciny doszedłem.
Domy, obdarte jak nędzarze, tłumy obojętne,

a gdzieś ponad tem wszystkim rozpalone oczy
gwiazd tak, jak tam daleko, skąd zacząłem po-
dróż...

Wszedłem do szynku...

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór...

— Przejeść co dostane?

— Od tego tu jestem...

— A nocleg?

— Czemu nie!

Twarda drewniana ława była mi łóżem.

Nazajutrz — niespodzianka. Przetarłem oczy.

Przedemną stał żandarm austriacki.

— W imieniu prawa aresztuje pana.

— Hm...?...

— Pójdziemy do burmistrza.

— Chodźmy.

A wiec — „pan burmistrz”. Zwyczajna pę-
kata figura, jak bywają czasem pękate myśli
filistra po dobrym obiedzie. Podbródek, solid-
ność, krawat... cos... tego... słowem, wyszynk pań-

stwowości austriackiej na galicyjskie miasteczko.

— Coś pan za jeden?

— Człowiek...

Skrzywił się...

— To źle, to niedobrze, to zgoła nieprzyzwoicie. Powinien się pan leczyć. Jakies pół roku terminu w dyrekcji policji, lub w seminarjum duchownem — coś w tym rodzaju... Napewno uleczy...

— Bóg zapłać panu burmistrzowi za dobre słowo. Wrosła już we mnie ta choroba, przegryzła do szpiku kości. Nie odlezie.

— Nazwisko pana?

— Nieznane jeszcze. W mgłach, w cieniu się ukrywa. Może różą wykwitnie, a może zwiędnie podeptanym ostem. Któż to wie, panie burmistrzu?

— Nieczyste sumienie mieć musi, kto się nazwiska wyjawiać boi.

— Doprawdy? przyłóż pan pieczętkę swoją do papieru — zostanie tylko pieczętka. Wyjaw pan paszportowy symbol swego numeru, który nosisz pan w stadzie obywateli, zostanie tylko symbol. Pieczętka, panie burmistrzu. Jam poza pieczętkami.

— Lat ile?

— W metryce .

— A właściwie?

— Właściwie? Nie wiem. Ot teraz naprzy-

kład przeżyłem ze . To nic: to lata urodzaju dla mnie.

— Za szybko pan rośniesz.

— A tak, i przerastam. To moje nieszczęście.

— Zajęcie pańskie?

— Nie rozumiem.

— Fach, rzemiosło?

— Ach, o tem mowa! Nie rozejrzałem się dotąd, a może nie rozejrzę się już. Zresztą mimo młodości mam nieco zepsuty apetyt: nie przejadłbym już może całej doby.

— Tem lepiej: zostawiłbyś pan resztę dla żony i dzieci. Wzrosłyby szanse posagu, stanowiska.

— O nie, panie burmistrzu! Ja muszę umrzeć bezdzietnym, bo w przeciwnym razie musiałbym pokutować na ziemi, rozszarpany na drobne cząsteczki, wykoszlawiony, śmieszny dla samego siebie. A możebym strędowaciał w trzecim, lub czwartym pokoleniu od rzymskiego katechizmu i został, nie daj Boże, urzędnikiem austriackim... Nie! nie! — żona, dzieci... rezygnuję... Miłość — prędzej... Ale i tej kupić nie ma za co...

Pamiętnik włóczęgi.

— Ach! pan nie masz pieniędzy? To najgorsza legitymacja. Wszystko uszłoby, ale nie to. Proszę o paszport.

- Niestety, pękaty mój burmistrzu. Mam za to znaki szczególne.

— Ciekawe... czekam...

— Ot nic... trochę wiary w moc własną.

— To drwiny. To nie odpowiada idei państwowości. Każę pana zaaresztować.

— Już jestem aresztowany.

— Tak, ale ja pana odeślę do starosty. Pan niebezpieczny człowiek.

Poszedłem znowu za żandarmem. Było dwie mile drogi do starostwa. Cóż z tego? Choćby dwadzieścia! Wszak byłem „nielegalnym”: nie miałem paszportu. I gdyby mnie teraz wzywała kochanka, lub umierający przyjaciel, gdyby towarzysze idei wołali mnie resztkami sił dla ratowania wspólnego nieba, nic nie poruszyłoby tego opancerzonego w bagnet chrześcijanina, który dawał baczenie na każdy mój ruch. „Uciekać zapragnę, jak szczenię ubije, przekłuje stalą. I wszystko go pochwali: moralność, prawo, religja”. Ale ja nie miałem przyjaciela, ani kochanki, nie wzywali mnie żadni towarzysze. Jed-

nego siebie ludziom niosłem, a i tego przyjąć nie chcieli.

I wszystko mi jedno było: tu, czy tam; na ławie karczemnej, czy w kozie.

A jednak... jednak zapragnąłem się wydrzeć z tych łap brutalnych. Wiosna była, słońce było, a mnie prowadzili. „Jak im się wydrzeć? jak im się wydrzeć?”

Nagle poczułem w sobie coś pełzającego, coś, co się nazywa rozsądkiem, sprytem, umiejętnością radzenia sobie". Postanowiłem być zalotnym. Spojrzałem na żandarma i z zacierającym ręce uśmiechem spytałem:

— A możeby tak piwka? co? pan się napije?

— Tak, bombka piwka nie zawadziłaby.

— Ale przedtem chyba i wódeczki? prawda?

— Można i wódeczkę.

Nastąpiło rozluźnienie dyscypliny. Piwo dobre było: zupełnie wilgotne i zupełnie kręcące w głowie. Żandarm już po trzecim kuflu wyznał mi, że jestem bardzo sympatycznym człowiekiem. Radził mi, abym wykonał spowiedź przed starostą. Zareczył mi zresztą, że w Galicji nie

tak, jak „pod Rusem". Wszyscy od namiestnika do ostatniego złodzieja — Polacy. Ucieszyło mnie to, że tylu złodziei Polaków było w Galicji; zadowolony byłem z siebie, z żandarma, z piwa i z całej Galicji. Piwo poskutkowało.

Starosty wprawdzie nie zastaliśmy, ale doktor praw z całą doktorską odwagą i impetem wypluł na mnie pełny ocean godności urzędniczej.

— Cóż to? włóczęga jakiś? Znowu z Królestwa? Jak się nazywasz?

Milczałem.

Wtedy żandarm nachylił się nad koncypjentem i szepnął:

— Proszę pana doktora, to jakiś bardzo porządny człowiek.

Piwo poskutkowało...

Koncypjent wykonał jakiś gimnastyczny ruch twarzą, odskoczył oczami od własnego nosa, powołał ze swego repertuaru jeden z tych sympatycznych uśmiechów, zdobiących „porządnych” w stosunku do „porządnych”, zabarykadował się wreszcie przed moim drwiącym wzrokiem murem urzędniczej solidności — z całą

powagą — z całą niezręcznością naiwnego bydła.

Utopił łapy w mym niewinnym tłumoczku, obmacał oczami kilka nic nie mówiących listów, i po raz tysięczny w życiu dowiedział się może, że jest tylko urzędnikiem austriackim. Ale gdy tylko doszło to do jego świadomości, postarał się w tej chwili zaprzeczyć temu: czytywał przecie kiedyś klasyków i romantyków: słyszał coś o człowieku.

Jeszcze raz przywołał na scenę uśmieszek, osłodził go, wygładził i rzekł:

— Więc uciekłeś z Królestwa, mój synu?

To już mówił czysty altruista, inteligent o szerokich skrzydłach, orlę z zaduchu biurokratycznego wylatujące, jakiś salonowy „pan Alfons” panienek histerycznych, słowem, cesarsko-królewskie zero, wstydzące się resztkami zwyrodniałych instynktów — samego siebie.

„I my tu przecie ludzie”.

Ale ja z obojętnością patrzyłem na trefione podskoki jego tchórzliwości i łokciami milczenia grzmotnąłem go po kadłubie. „Bez tych pokrewieństw, kundlu!”

To mu przypomniało, że jest bądź co bądź

doktorem praw i koncypjentem w starostwie, tedy: należy mu się od samego siebie szacunek. Urzędnik grał już tylko urzędnika.

— Ja pana przepraszam, że go spotkała nieprzyjemność. Jest to pomyłka. Otrzymaliśmy w tych czasach wiadomość, że przeszło granicę kilku szpiegów rosyjskich. Oczywiście musimy ich złapać. Dziś niema starosty. Zwolnić pana bez niego nie mogę. Ale nie chcę pana wsadzać do aresztu. Puszczam pana na wolną rękę. Jutro zgłosi się pan do starostwa i zostanie zwolniony.

Poszedłem szukać noclegu w gospodzie.

Dumny byłem z siebie. Wykryłem szczyrby

i rozpękliny w kolosie austriackim. „Coś za jeden, włóczęgo, który się człowiekiem ochrzciłeś? Zali nie będziesz godził na moje życie?”

Ci, którzy armjami i religjami trzymali na łańcuchu ludzi, musieli drzeć przed każdym włóczęgą. Szpiegi otoczone szpiegami szukały wszędzie kontrszpiega. Kapłan szpiegował żołnierza, żołnierz policjanta. „Obywatel” korzystał z tych zdobyczy kultury i szpiegował, czy szpieg należycie szpieguje. Położono kopyta na czynach i zamiarach, na słowach i myślach.

„Wolność woli, miłość chrześcijańska” — krzyczał oprawca... A koncypjenci starostw siedzieli nad swoimi stolikami i aresztowali włóczęgów. Tak było, tak musiało być i tak jest ciągle. Siedziałem w jakimś brudnym zajeździe, piłem fałszowane przez jakiegoś „uczciwca” wino i śmiałem się boleśnie.

Jakże to wszystko śmieszne było, jak śmieszne bajecznie.

Ale czekaj pani, opowiem ci inną powieść.

Był to dymisjonowany pies. Umiał łasić się, wystawiać, służyć, czyli: znał tresurę. Prócz tego był rasowym (ojciec jego sypiał w jednym łóżku z księżną). Dwie najniezbędniejsze rzeczy w życiu: rasa i tresura... Pies wystawiał kuropatwy, dubelty, ale przeważnie karierę. Kwintesencja życia. I było mu z tem dobrze. Karjera

sama mu w pysk wpadła.

Oto błąkał się raz nad Wisłą (pod Wawelem) i modlił się do kolacji. Wtem — plusk.

Marszałek szlachty się topił. Pies, nie wiele myśląc, buch do wody, marszałka za łeb i wyciągnął go wraz z sygnetem na brzeg.

— Jakże ja cię wynagrodzę, mój przyjacielu?

Rada w radę: marszałek do namiestnika, namiestnik do ministra: „trzeba mu dać order”.

— Ty ocaliłeś przedstawiciela szlachty, my cię przedstawicielem ocalenia uczynimy.

Pies dostał emeryturę: żołd z magistratu miejskiego.

Zaczął tyć.

Ale że tusza ma swoje przywileje, pies potrzebował dla siebie coraz więcej przestrzeni.

Skomlał naprzód na inne psy, później rozpedzał bachory uliczne, wreszcie wziął się do dorosłych.

Nikt mu nie przeszkadzał: wszyscy ustępowali. Cóż robić? taki porządek świata...

Kły, order, emerytura... Strach!...

I byłoby tak wiecznie... Ale pies obrósł tłuszczem, zajadł w sobie wszelką tresurę, to go zgubiło.

Raz nadeptał mu na ogon pewien jezuita.

Pies zamiast powiedzieć „Bóg zapłać”, rozgniewał się i ugryzł jezuity w łydkę...

Na nieszczęście był to sam kardynał. Sporządzono tysiąc odpowiednich raportów: pies dostał dymisję.

Biedny dymisjonowany emeryt!

— Och, gdybym wiedział, gdybym wiedział

że to był kardynał — skarżył się.

Głaskałem psa po grzbiecie i pocieszałem.

— Nie rozpaczaj, biedaku. Młody jeszcze jesteś: zacznij życie na nowo.

— Nowe życie? drwisz człowieku. Jakże to się stać może?

— Zostań człowiekiem...

— Człowiekiem? zaśmiał się. Łatwo to powiedzieć. Ja, który już czułem order w żołądku i miejski żołąd w duszy... ja... człowiekiem? Pomyśl tylko! Oto idę do litografji i każę sobie sto biletów odbić z napisem „człowiek”. Ale bankier zapyta: „jakiżeś ty człowiek, kiedyś kardynała ugryzł?” A córka jego zapyta: „jakiżeś ty człowiek, gdy żołąd i order przegrałeś? Czemże chcesz błyszczeć na moich salonach?” Nie! nie! oni tego nigdy nie przebaczą. Nie darmo sami uczą przebaczenia... Człowiekiem zostać?... Ale jak?... jak?...

Nachyliłem się nad nim i szepnąłem:

— Ugryzłeś kardynała... Więc zgryź teraz samego papieża...

— Co?... papieża?... Hej, policjanci! księża! szlachetne niewiasty! Na ratunek! Chwytajcie

wyrodka, co każe gryźć papieża. Do mnie, do mnie! Prędeż, psy! prędeż, suki! z kłami, z pazurami!

Pół miasta się zbiegło. Otoczyli mnie jak warjata, jak złoczyńcę. Popychają, szarpia.

— Klękaj i módl się!... Klękaj i módl się, bo obuchem w głowę!

— Bracia moi biedni, cóżem wam złego uczynił?

— W Boga nie wierzy!

— Papieża każe gryźć!

— Precz z nim, ukamienować go!

— Nie, lepiej powiesić!

— Na szafot z nim!..

— Na tortury!...

— W worek i do wody!

Klęli nade mną i wygrażali jeden przez drugiego. Nagle głowa jakiegoś księdza wyrosła nad tłumem.

— Owieczki moje!... Cofnijcie wasze karzące pięści. Chrystus kazał przebaczać. Bezbożność ludzka odebrała nam nasz fundament wiary, Świętą Inkwizycję. Więc choć słuszny gniew wasz, prawa świeckie do więzienia was zapędzą. Nie ruszajcie bezbożnika. Puśćcie go całego.

Jesteście przecie szafarzami chleba i soli. Odmówcie mu ich, a sam z głodu zdechnie. Tak

kazał Chrystus.

Tłum runął na kolana.

Wtedy dymisjonowany emeryt zbliżył się do księdza i błagał:

— O wielebny! to ja na alarm zaszczekałem. Zwróćcie mi order.

— Czy zwarzowałeś? oburzył się kapłan.

— Wtedy pies rzucił się na ziemię i płakał.

— A ja przez falę szczekających tłumów i psa płaczącego zwolna wchodziłem w życie...

Słuchasz mnie pani i dużymi oczyma pytasz:

— A gdzież koniec powieści?

Nie będzie końca... Kiedyś, kiedyś — może...

Inną opowiem ci powieść.

Głodny byłem od dłuższego czasu i smutny.

Napisałem więc kilka humoresek. Nic łatwiejszego w świecie. Bierze się jakiś codzienny banalny temat, który nie obraża głupoty ludzkiej i ubiera się go w trywjalizm. Zupełnie jak laleczki dla dzieci — w sukienki. Z tego — śmieją się.

Wziąłem towar pod pachę i zacząłem szukać przedsiębiorcy. Wkrótce — jest... „Hurtowa sprzedaż sztuki na prenumeraty roczne, kwartalne i miesięczne, jakoteż detaliczna na pojedyncze numery...”

— Zadzwoń..."

— Pan redaktor?

— Tak...

— Czy nie mógłbym tu dostać chleba na kilka dni?

— Jaki? tak — za darmo?

— O nie! przyniosłem kawałek duszy na sprzedaż.

— Pokaż no pan.

Zaczął czytać rękopisy.

— Tak, tak, niezłe. Ha-ha... jest humorek... hau-hau...

W tej chwili postanowiłem stworzyć prawdziwą humoreskę.

— Panie redaktorze! — rzekłem — czy uważa pan, że mam talent?

Ruszył ramionami.

— Talent? A komuż to potrzebne do prawdziwej sztuki?

Oglądał mnie bacznie przymrużonemi oczyma i jakby robiąc nagłe odkrycie, rzekł:

— Ale co widzę?!... Pan bez krawata... Jakże można być twórcą bez krawata?

— W sposób bardzo zwyczajny, redaktorze. Ściąga się go z szyi, rzuca się pod podszew i rzecz skończona.

— Rozumiem, ale jakże można paradować tak w negliżu? Do świątyni sztuki nie idzie się boso.

— W płaszczu królewskim szedłem, panie redaktorze, ale poczułem swąd. Magowie piekli

pieczeń w przedśionku, a dym i brud unosiły się nad ciemnościami. Bojąc się, abym sobie nie uwędził płaszcza - -

— Zrzuciłeś pan krawat? czy tak?

— Tak, redaktorze. I jestem teraz twórcą bez krawata. Noszę ze sobą całe morze łez, żalu, litości i pieśni. A wszystkie bez krawata.

— A jednak radzę panu wziąć kilka lekcji tańca i ubrać myśli w rękawiczki. Zdrożeje pan zaraz. Dziś — niestety! zmuszony jestem zapłacić panu o centa mniej na wierszu. Rozważ pan słowa moje poważnie. Jam już wychował całe pokolenie artystów...

— Ładnie tańczą?

— Historia sztuki o tem mówi.

— Szkoda, nie studjowałem.

— No, no, i pan się wyrobi. Szkoda pana do tych butów podartych. Pan mógłby ślicznie kłamać wszystkie cnoty. Trudno się przecież brać za bary z całym światem. Roztrzęsą! rozumie pan? roztrzęsą! Siła, potęga!...

— A gdzież niepodległość ducha, redaktorze? Rozbić siłę, jeśli jest plugawą; zdeptać potęgę, jeśli jest przegniłą.

— Zasepił się. Duża jego głowa spoczywała nieruchomo na poręczu fotela. Zda się, wizję snuł jakąś.

— Tak, tak. Zdeptać, rozbić. A to wszystko wymaga zachodu. Rękawy trzeba zakasać, so-

koły myśli wysłać za dziesiąte góry. I jeszcze przetrąca. Czy nie lepiej kupić wygodę, święty spokój, szacunek ludzki? Nie tak to ciężko: skulić się tylko, gdzie potrzeba, a później można już samemu potrać. Pan nigdy nie miał utrzymanki?

— Nie, redaktorze!

— Widać to z każdego słowa pańskiego.

— I krzesła redaktorskiego nigdyś pan nie

miał w teatrze? prawda? Właśnie!... A od czegoż się to wszystko poczyną? Od całych butów. Kup sobie pan na początek buty. Oto honorarjum. Reszta sama przyjdzie.

Nachyliłem się nad jego uchem i szeptałem:

— Znam krótsze drogi...

Zdziwienie...

— Pan?

— Tak. Mam list polecający do Kolumba mecenasów sztuki.

Poderwał się, jak kuropatwa...

— Czy być może? Ależ przyjacielu! siadaj! Może koniaczku? Nic tak nie krzepi ducha, jak rozmowa dusz bratnich. Prosit!... Ja pana zaprowadzę do niego. Dobrze? Weźno pan mój grzebyczek i przyczesz się nieco. Odrazu geniusza odgadłem w panu. Czy pozwoli mi pan przeczytać ten list?

Lecz ja sięgnąłem do kieszeni i wyjmując list dałem go w drobne kawałeczki

i rozrzucałem po ziemi. Wtedy redaktor zaczął pełzać po podłodze i, jęcząc, zbierał strzępy papieru.

— Boże, co za profanacja! List polecający! Warjat! samobójca!

Wstyd mnie ogarnął. Widząc, jak człowiek czołga się nisko po samej ziemi i bruka ręce pyłem, sianym przez obcasy, pociągnąłem go za ramię i krzyknąłem:

— Redaktorze! fikcja... To list od praczki, grożący zemstą za nieopłacenie prania za dwie koszule...

Zmęczył się. Oczy rzucały błyskawice gniewu.

— Więc cóż to za kontredans u licha? Wtedyś pan kłamał, czy teraz?

Żal mi go było...

— Ja zawsze kłamię — odparłem — i zawsze prawdę mówię...

Słuchasz mnie pani i mówisz:

— A naprawdę co było zmyśleniem, list polecający, czy praczka?

— Ani jedno, ani drugie, a może wszystko...

Ale słuchaj pani! opowiem ci inną powieść.

Pragnąłem kobiety. Śniłem o niej po całych dniach. I nie miałem do niej żadnego dostępu. Nędza, niewidoczność moja zasłaniały mnie od niej. Dłużej już tego znieść nie mogłem...

Przechodząc raz przez podwórko, spostrzegłem śliczną dziewczę. Brunetka. Córka urzędnika jakiegoś...

Utuczona była i wyfryzowana dostatnio, a jednak w oczach przebijało znużenie. Znać, czekała już długo ze swemi objęciami, i nikt nie przychodził po jej hojność. To ją gniewało. Siedziała znudzona w oknie, jak pies na upale, a wyglądała, jak anioł.

Postanowiłem ją podrażnić trochę.

Przebiegłem schody.

Wyszła z matką.

— Przepraszam najmocniej panie. To tu pokoik do wynajęcia?

Zdziwiły się.

— A kto panu mówił?

— Wszak na karcie...

— Karta? Nie, myśmy jeszcze nie wywieściły. Ale w istocie mamy zamiar. Pewnie stróż panu mówił?

— Pozwolą panie obejrzeć?

— Prosimy.

Brunetka z niechęcią obejrzała moje ubranie i skrzywiła się.

Matka mrugnęła na nią...

— Jadwiniu, jakże można! może lord prze-

brany...

Jadwinia poprawiła niezręczność i posłała
mym oczom parę wyperfumowanych uśmiechów.

Zacząła się rozmowa.

Postanowiłem być bezczelnym i zajmującym.

Udało mi się to w zupełności. Jak bogacz, rzu-

ciłem im szczodłą ręką kilka drobnych mone-

tek śmiechu i pochlebstwa i tak — wygrałem

grę. Pokoju nie wynająłem, ale uzyskałem wolny

wstęp do brunetki.

Wkrótce potrafiłem stać się jej niezbędnym.

Czuła wdzięczność dla mnie, że mnie kokieto-

wać może.

— Patrz, jakie mam ramiona, jakie ręce

toczone. Słodycz i upał, upał i harmonja.

— Widzę, podziwiam — odpowiadałem.

— Ach, jakże pragnę uścisku mężczyzny —

mówiła namiętnie.

— Więc oddaj mi się pani — błagałem.

— Co? oddać się? Obraziła się. - Córka

urzędnika jestem. Matka moja za mąż wyszła,

i ja wyjdę.

Tego dnia nie rozmawiała, już ze mną.

Innym razem szeptała, przechylając cu-

downie główkę: Ach, jaki pan niedobry dla
mnie!

— Czemże zawiniłem?

A ona, muskając mi włosy swoją ciepłą
rączką, pytała:

— Czy pan nigdy nie pragnął być radcą, albo dyrektorem?

— O nie! nigdy! — odparłem energicznie.

— I nie marzyłeś pan nigdy o tem, że lokaj przyniesie ci kawę do łóżka, i że wyjedziesz własną karetą na spacer?

— Nie, pani! i o tem nie marzyłem.

Ona wyprostowała się nagle i, jakby po doznanej krzywdzie, rzekła z wyrzutem.

— Niedobry pan jesteś. Nigdy za pana nie wyjdę.

Taka piękna była w swym żalu.

— Jadwiniu! — zawołałem. Jadwiniu! Mówisz tak, boś nie kochała nigdy. Czy i wtedy, jak miłość przyjdzie, będziesz pytała kochanka, żali o karecie marzy?

Lecz ona obrzuciła mnie wtedy pogardliwym wzrokiem i zaczęła się śmiać.

— Uczciwa kobieta nie kocha człowieka bez pozycji... Jakiś pan niedouczony!

Raz, kiedym przyszedł do Jadwini, zastałem jakiegoś tanecznika. Żywo, żywo rozmawiali i oboje pokazywali sobie siebie, jak na wystawie sklepowej.

— Przyszły radca stanu — pomyślałem.

I nie omyliłem się.

— Tak więc, kuzynko — mówił tanecznik — od jutrzejszego dnia będę brał po sto pięćdziesiąt reńskich miesięcznych aspiracji.

Ona patrzyła na niego z zachwytem i melancholijnie mówiła:

— Oh! społeczeństwo musi wkrótce drożej zapłacić za pańskie poświęcenie.

Połknął haczyk z radością i skromnie spuścił oczy.

— Są genialniejsi odemnie.

Ale ona zaprzeczyła temu.

Tego dnia byłem ogromnie drobny w tym domu. I odtąd dni takie powtarzały się coraz częściej. Siadywali uśmiechnięci oboje i zachwycali się sobą. On pokazywał jej swoją portmonetkę i rachował pieniądze, ona pokazywała mu białe zęby, ślicznie toczona ramiona, czasem łydki kawałek. Okres miłości...

— Przelicytuje go, czy nie przelicytuje? — myślałem.

Ale przelicytowała...

Raz, kiedym szedł wieczorem do Jadwini, na spotkanie me wyszła matka. Rozpromieniona była.

— Wie pan? Ten szlachetny młodzieniec oświadczył się dzisiaj o rękę Jadwini.

— Było to do przewidzenia — odparłem. — Winszuję...

Ale stara przekupka spostrzegła nagle, że zbyt radość psuje czasem targi. Zniżyła głos i mówiła mi z niezachwianą powagą:

— Już to, prawdę mówiąc, mogłaby lepszą

zrobić karierę. Co? jak pan o tem sądzi?

— O, bez wątpienia.

Wszedłem do pokoju Jadwini.

— No i cóż? — przechwalała się — moja filozofja lepsza, czy pańska? Ja już uwiłam sobie gniazdko.

Spojrzałem na nią ze smutkiem.

— A ja chodzę właśnie po świecie i burzę takie gniazdka.

— Ta-ak?...

— A tak, pani, tak — mówiłem z gniewem.

Zamyśliła się.

— Czy pan sądzi, że ten idjota nie prędko zaawansuje na radcę?

— Przeciwnie: sądzę, że ten szlachetny młodzieniec zajdzie wszędzie, dokąd tylko zamierza. Ona wyczuła odrazu moją ironję. Zaczęła płakać.

— Dlaczego pan mnie depce? Czyż moja w tem wina? Takie życie już, zwyczaję, zresztą sfera towarzyska. Niemniej przeto kobietą jestem.

Lecz ja, widząc, jak łzy płyną z jej oczu i macą pogodę jej twarzy, zacząłem się śmiać.

— O nie, brunetko! ty tylko córką urzędnika jesteś.

Wszedłem błąkać się po sennem mieście.

Długo nad Wisłą stałem i fal słuchałem. Ranek mi nad oczami wstawał, a ja śmiałem się

jeszcze...

— Ale czekaj pani, opowiem ci inną powieść.

Mieszkałem u jakiegoś powroźnika. Baty robił. Biedota to była — aby wyżyć tylko... Odnajął mi trzy deski na podłodze do spania i stołek do siedzenia. Ano: mieszkaliśmy. Kilka dni było nam zupełnie dobrze. Ale powroźnika bolała moja inność. Chciał wypłoszyć ze mnie wszystko, co było mu obcem. Środki ku temu: przykład dobry, rada, wreszcie postronek.

Poklepał mnie po ramieniu i spytał:

— Dlaczego pan nie jest powroźnikiem?

Przymrużył chytrze oczy i z wyższością sędziego w stosunku do przestępcy, jakby z wysokości trybunału, powtórzył:

— Co? dlaczego pan nie jest powroźnikiem?

— Bo nie chcę — odparłem spokojnie.

Rzucił niedokończony bat na ziemię.

— Jakto można nie chcieć być powroźnikiem?

— A tak sobie — odrzekłem wymijająco.

Oburzył się.

— A wiesz pan, dlaczego to wszystko? Boś pan narowny. Ja już pana podpatrzyłem. W panu jest coś zepsutego. W oczach toś pan niby do-

bry, a przyjrzeć się panu, to aż strach bierze. Pan ludzi nie lubisz. Aby im na złość zrobić... Wczoraj naprzykład ten kapral o manewrach opowiadał. Wszyscy słuchają, śmieją się... Pan jeden się tylko skrzywił i wreszcie mówisz: „po co to wszystko?” A kiedy komisarz policji szedł przez podwórko, toś mu się pan nawet nie ukłonił... prawda?

— Prawda.

Ze smutkiem patrzyłem na powroźnika... Złagodniał...

— Eh, bo pan myśli może, że ja tak dla dokuczenia panu. A ja z dobroci. Ot szkoda mi pana. Ręce ma pan takie białe i mógłbyś pan jeść gulasz z papryką, a pan chleb suchy wolisz.

Uśmiechnął się z życzliwością i ciągnął.

— Mnie żal pańskich rąk białych. Pan może nie wiesz? Ja mam brata lokaja... U takiego wielkiego księcia służy. Co powie — to święte. Pić, jeść panu dadzą, liberję... Cóż? zechciałby pan być lokajem.

Spojrzał na mnie z tryumfem.

— Nie, panie, nie zechciałbym być lokajem.

Rozgniewał się... Ostre słowa nienawiści za-

warczały mu w ustach.

— Psia krew! Panuby i niebem samym nie dogodził.

Na drugi dzień po tej rozmowie powroźnik gniewny był od samego rana. Przyglądał mi się z podełba i gryzł własne myśli. Jak pantera, czająca się do skoku, tak on się czaił, przydeptywał.

— Ej, nie wytrzymam — syknął.

— A co tam? — spytałem.

Nienawiść mu w oczach wyblęśta, ale ją złapał przemocą i zgniótł siłą woli.

— Na co tu się tarmosić i szarpać? — mówił. Tak być dłużej nie może. My razem nie możemy mieszkać. Pan pacierza nie mówi.

Spojrzałem przez okno. Deszcz chlupał.

Każdy listek dygotał na drzewie od zimna.

Z przerażeniem pomyślałem, że pozostanę bez dachu.

Ale i powroźnik stracił zręczność.

— Bo widzisz pan — tłumaczył się — przecie to jest musowe. Można być złodziejem, hyclem, psem, ale pacierz trzeba mówić.

Rozstaliśmy się...

Rozumiał, że idę na deszcz i zimno, i żał mu było.

Żałował, ale wypędział: pacierza nie mówiłem.

Poszedłem za miasto. Nocowałem na gala-

rze u jakiegoś węglarza. Radowało mnie to, że Wisła huczy, że się z powroźnikiem rozstałem i że mi tak samotno.

Na drugi dzień pogoda była. Więc znów mnie radowało, że pogoda, że słońce świeci i że nic mnie nie trzyma, i nic nie woła.

Umawiałem się z węglarzem na służbę, miałem już z nim jechać do Prus po świeży węgiel, ale w ostatniej chwili zerwałem układy i... zostałem nad Wisłą.

Noc znowu mnie zastała bez dachu. Nie troszczyłem się już o to — „jakoś tam będzie”. I było jakoś...

Siedziałem pod drzewem i drżałem od chłodu. Nagle — kroki czyjeś... „Niech tam idzie” — pomyślałem. Ale on przystanął.

— Cóż ty tu? — spytał,

— A nic — odparłem.

— Nic?... To dobrze... Nie masz papierosa?

— Nie, nie mam.

— Ale ja mam. Zapalisz?

— Zapalę.

Skręciliśmy... Zaczął mnie pilnie oglądać.

— Toś ty nie frajer?

— Czy ja wiem... — odrzekłem.

— No, no... Roześmiał się. Podobalesz mi się. Umiesz kraść?

— Nie, nie umiem...

— Toś głupi...

— A złapać za gardziel i wytrząchnąć guldenki? też nie?
— Nie!
— Dziwny... I kogóż żałujesz? Tych?... co?
Pokazał ręką na miasto.
— Może i tych...
Nachylił się nade mną.
— Et, psia mać! Łydki masz zajęcze i tyle.
Boisz się o tę grzbiecinę.
— I to także....
Machnął ręką.
— Masz gdzie spać?
— Nie...
No to chodź!
Poszliśmy.
— Takie ci drzewa sakramenckie — za-

chwalał — słomy naznosiłem, usłałem... prze-
łaż-że...

Był to wysoki parkani

Wygramoliłem się za nieznajomym — prze-
skoczyliśmy. Zaprowadził mnie...

— Masz, gnij. Pójdę jeszcze, wiśni przyniosę.

Tu ci, psia mać, wszystko moje.

Ułożyłem się na wygodnem pościu, ale
jakieś złe obawy oczy mi roztwierały szeroko
i nasłuchiwałem niespokojnie. Duża, zimna żaba
wskoczyła na mój barłóg, uczułem ją pod ręką
i zerwałem się na równe nogi, W tej samej
chwili usłyszałem hałas. Psy zaszczekały złoś-

liwie, biegli jacyś ludzie, krzyczeli, tupot nóg ich kołatał po parku.

— Łapać złodzieja, łapać, łapać!

Obywatelska czujność uzbrojona w pałki, broniła świętej własności. Strach mnie popędził na oślep, przesadziłem parkan, rękę o gwóźdź jakiś rozdarłem do krwi — uciekłem.

Nasłuchiwałem z oddalenia. Wrzask się wzmacniał, rósł, rozbijał po parku. Później stało się coś jeszcze, coś potworniejszego. Ludzie zaczęli się śmiać, wydrwiwać... Musieli być bardzo zadowoleni. Zdało się, na jakąś ucztę rodzinną

pospuszczali z łańcuchów dusze, i hopla! — z całego serca. „Panie Boże dopomóż, dobrzy ludzie!”

Od tej nawały wrzasku, śmiechu, zadowolenia, odłączyły się inne głosy. Ludzie zaczęli bić kijami, i ciszę ciemności rozdarł skowyt ludzki. Wtedy usłyszałem wyraźnie, jak nieznajomy jęczał.

I odtąd, gdy noc jest cicha, i wiśnie zakwitną po sadach: słyszę słaby, bolesny jęk nieznajomego.

— Co za jeden był? — pytasz mnie pani...

— Nie wiem: nie poznałem jeszcze. Wydziedziczony, a może ten, z którego urodzi się przyszłość. Nie wiem. Prawo nazywa go włóczęgą, pobytowcem. Lud krakowski dał mu cyniczne imię „baciarsza”... Jednostka bardzo szkodliwa.

Powroźnik: tego znam lepiej, chociaż nigdy nie wiem, którem wołać go imieniem. To ten, co płaci podatki, myta, wychowuje córki dla domów publicznych, wreszcie robi baty. (Bat — elementarz do uczenia dzieci, koni, psów, a przede wszystkim samych powroźników). Ale czekaj, pani, opowiem ci inną powieść.

Oparłem się na jakiś czas o dom noclegowy. Do dużej, wilgotnej izby znoszono słomę i ludzie za parę centów zapominali na niej na kilka godzin o życiu. Byli i tacy, których myśli tak były nabite nędzą, że nie zapominali o niej nigdy. Jeden skarżył się przez sen, że go oszukali na butach i podrą mu się wkrótce; drugi uciekał od pościgu żandarma i bał się, że mu odbierze skradziony szaflik; inny łajał kochankę, że jest rozrzutna, że za często orzechy jada... Tchórzostwo i odwaga, troska i lekkomyślność, czułość, marzycielstwo, brutalność — wszystko to się zrywało przez sen — w półsłówkach — w jękach przerażonych — w urywanych zdaniach.

I był tu ten sam człowiek, co w salonie, tylko obdarty ogromnie z politory i tapet i powalony przeraźliwie na brudną słomę. Brud przyklepał mu się do czoła, a on poszedł tym brudem straszyć swego brata z salonu, swego wroga zawziętego, swego psa z budy sąsiedniej... Oba sobie strawę wyjadali, i oba się gryźli... Tam

cylinder, tu kaszkiet, tam perfumy, tu gnój,
tam puchy, tu słoma. Salon: dom noclegowy...
Gryźli się i nienawidzili — za cylindry i kasz-

kiety, za perfumy i gnój, za puchy i za słomę...
To było ich łącznikiem... Co ich w kupę spędzało — rozdzielało zarazem, co rozdzielało — łączyło... Salon i dom noclegowy. Było to jedno i to samo, dwie nazwy tylko... Oparłem się o dom noclegowy.

Obok izby wilgotnej był duży, ciemny pokój. Tu wynajmowało się łóżka z pościelą. Tu spałeś, pókiś chciał — choćby dobę całą, tu nikt słomy nie wyciągnął z pod ciebie, nikt cię przez sen pięścią nie uwalił. Tu gnieździli się wybransi — arystokracja domu noclegowego. Rozkosz łóżka nie każdy i nie zawsze mógł sobie kupić. Więc byli i tacy, których sny obracały się między słomą a łóżkiem, między izbą wilgotną — a pokojem ciemnym. Nędza kulila się kilka nocy na słomie, żeby móc dobę łóżka zakupić. Tam gnaty prostowała, tam uśmiechała się do losu.

Gościły tam pawie z piórami wydartymi, świecące nagimi grzbietami niby moralną łysiną. Byli to stali mieszkańcy domu noclegowego, ale że mieli swoją przeszłość pawią, nigdy zapomnieć o niej nie mogli.

Wspominali swoje czasy studenckie, swoich

wujów, mecenasów i kanoników, swoje szwaczki drżące od miłości. Czasem wierne odbicie przeszłości, czasem kompozycja tylko. To było im potrzebne do życia... Utrzymali nawet swoje dawne tytuły: każdy nazywał się doktorem, literatem, historykiem... Jeden tylko nie miał żadnego tytułu, więc go nazwali kandydatem.

— Słuchajcie, kandydacie, kiedyż wy na to założenie sklepu dostaniecie? — pytał matematyk.

Kandydat zaciągał się papierosem i odpowiadał tak, żeby wszyscy słyszeli:

— Muszę jeszcze czekać, uważacie matematyku, ze dwa miesiące. Pieniądze już są, ale je ciotka wycofa dopiero.

Działo się to w kawiarni, która była trzecim posterunkiem domu noclegowego, i tu działo się najwięcej. Kandydat wyciągał jakieś rachunki, projekty, pokazywał, tłumaczył... Wszyscy wiedzieli, że sklepu żadnego nie założy, że żadna ciotka pieniędzy mu nie da, ale to nie przeszkadzało im słuchać. Każdy miał przecie jakieś rachunki i projekty, i żaden w nie nie wierzył... Jeden miał zostać profesorem gimnazjum, drugi ordynatorem szpitala, trzeci redaktorem po-

czytnego dziennika — ot patrzeć tylko: za dzień,

dwa najwyżej... Życie szło, a ordynatorzy spali.
Spali w domu noclegowym, żyli — w kawiarni.
Tylko że w kawiarni nic prócz kawy i dymu
tytoniowego nie było, czuli nieraz ból głowy
i głód... To ich gniewało. Przeklinali wtedy
wszystko, i to im dźwiganie losu ułatwiało.
Mnie powitali naogół przychylnie.
— Godność pańska? — pytał prawnik.
— Z dnia na dzień — odpowiedziałem.
— Ach! Pan się nazywasz „z dnia na dzień”.
Racz pan przyjąć moje uznanie.
To było najlepszym paszportem.
W prędkim czasie zostałem ich powiernikiem.
Opowiadali mi o swoich niedoszłych karje-
rach, o swoich snach brzuchatych. Przydeptani
byli do ziemi i opluci przez salon, a nigdy za-
trzeć go z siebie nie mogli doszczętnie: bre-
dzili o nim w malignie, choć przeklinali.
Z szarej przędzy przeszłości snuli desenie
wzorzyste, cacka swojej fantazji. Wierzyli w nie,
bo to było potrzebą ich nędzy. Wkrótce nau-
czyłem się tych ludzi na pamięć. Każdy lubiał
być tem, czem nigdy nie był.
Matematyk naprzykład miał pojedynek w mło-

dości. Zazdrosny mąż przestrzelił mu biodro -
ach jaka piękna była żona! Odtąd kulawienie,
morfina i zniechęcenie do pracy — ach jaka
piękna była żona! Skutki miłości... Inni zapewniali
mnie pod słowem honoru, że kulas nigdy się

nie pojedynkował. Miał za to jakąś brzydką chorobę: lepiej o niej nie mówić. „Zresztą morfinista i bzik”. Skutki miłości...

Prawnik nawymyślał po rygorozach rektorowi i omal go nie obił. Koledzy wynieśli go na ramionach, a rektora wygwizdali. Dyplom został wstrzymany.

W innym wydaniu czytało się to w taki sposób:

Prawnik rygorozantem nie był, ale kradł za to kolegom kalosze i parasole. Raz go przyłapano na kradzieży palta i obito. Tytuł: redaktor. Okładka: świetna przeszłość, talent, projektowane małżeństwo z hrabiną. Intrygi rodziny, samobójstwo narzeczonej, dom noclegowy.

Komentarz: bydlę, rok na utrzymaniu u jakiejś warjatki, śmierć warjatki, dom noclegowy...

Tytuł: kandydat. Wiedeń, Niceja, Rzym, przegrany w karty majątek, ale bogata ciotka w zanadrzu. Przyszłość: sklep, kandydatura na posła.

Dopisek: kelner. Przeszłość — Podgórze.

Rzym, Niceja — blaga. Karjera — kawiarnia. Przyszłość — klinika, prosektrjum. Takie to smutne było...

Siedzieli ci ludzie w kawiarni, a dnie ich były przekleństwem. Budziły się wschody i zachody, wstawały ranki majowe; oni już tego nie czuli.

— Prawniku!

— He?

— Dajcie no papierosa.

— Nie mam...

— To dobranoc.

Dopiero, gdy wieczór spędzał od tacek do kawiarni nędzę miejską, oni zwartem kołem obsiadali stolik i „odstawiali” ludzi.

— Mój redaktorze! Jakie też może mieć społeczne znaczenie piekło Dantego?

Redaktor prostował się, zapalał papierosa i... jechał po piekło. Zupełnie jak w salonie. Właściwie nikogo nie obchodził ani Dante, ani redaktor, ani piekło: w ten sposób tylko bito w pysk literaturą „to bydło” przy stolikach. To było im konieczne do życia.

„Bydło” piło kawę, słuchało i uśmiechało się ironicznie.

To także było mu konieczne do życia.

W ten sposób bito się na dwie strony.

Zupełnie jak w salonie...

Pewnego dnia wszedłem do kawiarni z prostytutką. Taka najgorsza — z plantów.

Wahała się, bo „wypędzą” — mówiła.

— Nie bój się! nie wypędzą. Im wszystko jedno. Namawiałem.

Poszła...

— Dwie kawy — zawołałem.

Dziewczyna roznosząca kawę, zwana „nie-wiastą”, z pogardą spojrzała na prostytutkę i z oburzeniem anioła odeszła w milczeniu do

innych stolików. Sama ścisnęła się po kątach z gośćmi i oddawała im ciało, więc czemuż nie gardzić prostytutką?...

— Niewiasto! dwie kawy! — krzyknąłem gniewnie.

Wyszła do kuchni.

Długie, długie oczekiwanie...

Przy stoliku pawi wszczął się ruch... Matematyk był już po morfinie, zresztą wieczór i „bydła” dość... Obejrzał tryumfalnie kawiarnię i odwalił:

— Mój prawniku! Powiedzcie mi, czem się

austrjackie prawo kierowało w swoim pojmowaniu kwestji prostytutki?

Było to zagrane specjalnie dla mnie. Nie rozumiałem tylko, po co?

— Kawa prędzej! — wołałem niecierpliwie.

„Niewiasta” wyszła, ale bez kawy.

Jednocześnie ukazał się gospodarz.

— Zabrakło kawy — wyciął z godnością.

Nad kawiarnią na chwilę zawisło niespokojne milczenie... Niby zębami kęsająca cisza...

Prostytutka patrzyła na mnie przerażona...

Zaczęła się owijać chustką, owijać, owijać... Nagle wsunęła się, jak dziecko pod stół i ukryła...

Wtedy pawie wybuchły śmiechem.

Kandydat przyłożył obie dłonie do ust i zapiał koguta.

Śmiech rzucał się po kawiarni, trząsł, spo-

tworniał w jakieś nienawistne zadowolenie.
Redaktor ukłonił się z daleka kapeluszem
i zawołał:

— Panie He! Do bajzla stąd!... Smacz-
nego!...

I pawie wśród huraganu śmiechu powoli wy-
chodziły z kawiarni...

Z pełnem przeświadczeniem wyższości...

Zupełnie jak w salonie...

Ale czekaj pani, opowiem ci inną powieść.

Wychodząc z grobów królewskich, wzięty
byłem do niewoli, zwanej dyрекcją policji.

— Co pan właściwie za jeden? — pytał ko-
misarz.

Opowiedziałem mu, com wiedział o sobie,
ale to nie wystarczyło. Odprowadzono mnie do
aresztu — „pod telegraf”. Ludzie spali tam —
a było ich dużo — na długich, twardych tapcza-
nach... Jedni spali, inni nie spali — jak „pod
telegrafem”...

Wszyscy byli wielkimi przestępcami, i biuro
oddzielne notowało ich do odpowiedzialności,
jak woły do brakowania. Ten śpiewał na ulicy
i mógł obudzić przez to jakiego kupca, ów
uścisk oddawał prostytutce na plantacjach miej-
skich... Zakłócenie porządku, zbrodnia przeciw
moralności...

Najwięcej było pijanych...

Trzeszczała sztaba żelazna, zgrzytał klucz
w zamku, policjant wpychał „zbrodniarza”.
„Zbrodniarz” szukał po omacku tapczana i śmiał

się albo przeklinał — zależnie od uzdolnienia..

Zwykle przeklinał...

Niejedni poznawali się po głosach — radość,
powitania...

— Jak się masz, morowy chłopie!

— Jak się masz, psia mać!

Za ścianą słyszać było kobiece piski, groźby,
przekleństwa.

Pijane prostytutki...

Przez kraty okien widać było księżyc. Pa-
trzył zimny i daleki na senne miasto, jak tysiąc
lat temu, jak przed milionem wieków. Tak pa-
trzył był wtedy, gdy był jeszcze młody i pełen
życia; tak patrzył później, gdy się zestarzał
i zastygł. Tak patrzył był na dziewicze lasy,
płaczące jękiem człowieka pierwotnego, tak pa-
trzył na śpiące nienawiści pełne aresztów poli-
cyjnych... Zimny i daleki...

A ja myślałem, jak można być policjantem
i wpuszczać i wypuszczać przez całe życie aresz-
tantów i wierzyć w niebo. Później przypomniało
mi się, że policjanci miną, i areszty miną i wszyst-
ko minie. A ja za miliony lat na ich trupach
wstanę i będę szukał księżycy zimnego i dale-
kiego, ale on zagaśnie i nie popatrzy już na

mnie... Tylko na grobie jego ocknie się inny księżyc, jak ja na grobie policjantów, jakiś zło-
cistszy i cieplejszy, a może stokroć zimniejszy
jeszcze... Tak mi noc przeszła „pod telegrafem”.

Rano — oględziny lekarskie...

Czytano po kolei aresztantów — szli po jed-
nemu, jak psy tresowane — „zdrów, chory...
zdrów, chory...”

Wstyd czerwony wypalił mi rumieńce na
twarzy...

— Jakże tak można? — myślałem...

Przeczytano moje nazwisko... Dozorca po-
pchnął mnie...

— Rozpinać się — krzyknął policjant.

Jakieś łapy brutalne zaczęły obmacywać
moje ciało...

— Zdrów!...

Kilku zakwalifikowano do szpitala wenery-
cznego... Dla szczęścia ludzkości i całości Au-
strji...

Wracaliśmy znowu na tapczany...

— Szwancparada! — huknął któryś z are-
sztantów.

Nieskrępowany ustawami policyjnymi śmiech!

Później wyprowadzono nas na duży dzie-

dziniec... Rozdawano stawę... Jakaś staruszka

ręką zgrzybiałą wyjmowała z konewki kawałki mięsa i po nie wyciągały się chciwie niemyte ręce, żarzyły się oczy więźniów... Zaczęło się dzielenie chlebem. Dorosłym po bochenku, dzieciom — po pół...

I oto zauważono we mnie jakąś sztywność, ziębnącą na widok strawy... Otoczyła mnie gromada dzieci... Zaczęły wyciągać ręce ku mnie, składając je jak do modlitwy — skomleć jak szczenięta...

— Panie! Mnie niech pan odda. Panie! mnie niech pan odda.

— Podzielcie się — rzekłem.

Rzuciły się na darowany bochenek, rozpychały się, łokciami po łbach tłukły...

Pamiętam skłębioną masę ciał drobnych na ziemi, jakieś podskakiwania i opadania rąk dzieciennych, klątwy i wycia, — gryzą się niemal. Walka o dwa funty chleba... Podbiegł do tej chmary walczących dozorca, w jednej chwili rozpedził ją. Dzieci uspokoiły się, rzucając tylko nienawistne spojrzenia. (Grzeczność dzieci pod dozorem policjanta)...

I pamiętam, jak później w areszcie jakiś człowiek podszedł ku mnie i rzekł:

— Paneś nic nie jadł...

Nie widziałem, jak wyglądał, bo nie patrzyłem na niego... Sięgnął do kieszeni i nasypał dla mnie na oknie garść ziarek z dyni.,.

I znów mnie wezwano do dyrekcji policji. Komisarz objaśnił mi, że jestem zbrodniarzem: że źle się ubieram, mało jadam i niewygodnie mieszkam. O tem już dawno wiedziałem... Nadto dodał, że właśnie dlatego państwo austriackie muszę opuścić, a o tem jeszcze nie wiedziałem. Chciałem mu coś mówić o ojczyźnie, o dzieciach jednej ziemi, ale przypomniałem sobie, że jest komisarzem i zacząłem uważnie rachować guziki na jego mundurze.

Trochę się zniecierpliwił i rzekł:

— A w przeciwnym razie wydamy pana władzom rosyjskim.

Zwrot ten okropnie mi się podobał i podpisałem protokół, że w przeciągu doby opuszczę Kraków, Galicję i całą Austrię.

Wkrótce sam zmierzałem ku granicy rosyjskiej...

Przemycałem się nocą...

Przewodnik mój zanadto był pobożny i zamiast brać odwagę, modlił się o swoją całość.

— Żeby też nam Bóg dopomógł — powtarzał ciągle.

Bóg nie dopomagał, a on drżał...

Siedzieliśmy na brzegu lasu nad jakąś polanką...

— Widzi pan te drzewa?

— Widzę...

— Tam stoją żołdacy.

— To dobrze.
— Musimy poczekać jeszcze.
— Poczekajmy...
Ciemność układała się nad nami... Siedzieliśmy
na wilgotnej ziemi oparci o sosnę. Deszcz padał...
— Co też tam moja żona robi teraz?
— Myśli, że pana wezmą djabli, i za dru-
giego wyjdzie...
Splunął...
— Ogromnie się boję — szeptał po chwili.
— To trzeba było zostać generałem
Zamilczał...
Zniecierpliwiałem się...
— No, idę już — zawołałem.
Poszedłem wprost przez polankę.

I stało się to, co się najczęściej staje: żoł-
nierze pilnowali granicy, a ja przeszedłem granicę
niepostrzeżony.
Przesadziliśmy płot jakiś...
— Na prawo, na prawo — mówił przewodnik.
Nagle tentent kopyt końskich...
— Gonią nas...
Zaczęliśmy uciekać...
Las — bagna, błoto — woda, płot — drzewa,
„skacz pan!” — „szlus, szlus! Kładźmy się na
ziemię”... — „nie oddychaj pan tak głośno”. —
„jazda na to drzewo” — las — bagna, błoto —
woda, płot — drzewa... Jak ogary pędzone przez
wilków...

Utyłani byliśmy w błocie, z przemokłą odzieżą, z pręgami od łóż na twarzach. W butach woda chlupała, pot czoła oblewał, ale umknęliśmy...

I była chwila, kiedy zdało mi się, że tak właśnie powinno być, jak było; że tak najlepiej było, jak było... Moknąć i uciekać, chować się i czaić...

Wyszliśmy na jakiś gościniec leśny, z gościnią na boczną dróżkę, z dróżki na inny gościniec... Tak szliśmy długo,

Dojrzałem drogowskaz w ciemności, zapaliłem zapalniczkę. Po napisie w obcym języku poznałem moją ojczyznę,

— Jesteśmy już w domu — rzekłem z radością.

Ale przewodnik odparł kłopotliwie:

Wie pan? Ja tego miejsca nie znam. Zabłądziliśmy. Odtąd szliśmy na oślep... Kierowaliśmy się niby szumem jakiejś wody młyńskiej, ale że były roztopy wiosenne, zdawało się, że ze wszystkich stron huczą młyny,

Nagle ujrzałem trzech ludzi.

— A ty kuda? — pytał jeden,

Wpadłem w ręce żołnierzy rosyjskich.

Odprowadzono mnie na posterunek.

Nie wiedzieli, jakiego gatunku zbrodniarza schwytali, ale zadowoleni byli, że to oni właśnie uczynili; że prawo mnie pokarze i zemści się

nade mną — kto wie? Śmierć może mi grozi.
Patrzyli na mnie dobrodusznie, i wiedziałem, że
z taką dobrodusznością pasyby ze mnie darli...
„Każą — puścimy, każą — rozstrzelamy”,
Dwa dni włóczono mnie z posterunku na
posterunek, I wszędzie otaczali mnie wkoło
dobroduszni ludzie, karmili chlebem i zupami;

wypytywali, jak w Austrii żyć — być człowie-
kowi, czy „cara ichniego widziałem?” Opowia-
dałem im, że wszędzie źle biednemu człowiekowi,
a źle mu, że słońca nigdy nie widzi i „azbuki”
nie zna; a oni patrzyli na mnie z podziwem,
słuchali mnie bacznie i karabiny trzymali w rę-
kach, żebym im nie uciekł.

Oficer kazał mnie odprowadzić na komorę,
Władze wojskowe oddawały mnie władzom cy-
wilnym.

— Pamiętaj! — nakazywał żołnierzowi —
obchodź się z parniem dobrze. A zechce ucie-
kać, tak strzelaj.

— Słuszaju...

— No, chodź, gołąbku.

Z komory oddano mnie sołtysowi.

Teraz mieli mnie już wlec etapem: od gminy
do gminy, aż na miejsce urodzenia.

Sołtys zamówił dwóch stróżów, wyjął ręczne
kajdany ze stolika. Zbliżył się do mnie.

— Dać no ręce...

Bezmyślnie arogancką twarz opromieniła

duma wiejskiego urzędnika władnego okuwać
w żelaza, Sycił się tą władzą i smakował, jak
w dobrej potrawie. Chleptał ją, jak barszcz

z miski, i zdawało mu się, że łyka haszysz.
Patrzył na mnie ponuro, bez uśmiechu, gdyż
bał się, że uśmiechem powagę popsuje,
— Trafie bez kajdan — odrzekłem spokojnie.
Odwinął kawał sukmany i pokazał na pier-
siach blachę sołtysowską,
— Znas pon ten mental?

A widząc, że blacha nie budzi we mnie po-
kory, rozgniewał się...

— My tu nie takich ślachciców pędzali w kaj-
danach.

Właściwie rozgniewał się zupełnie o co in-
Nego. Rozgniewał się o to, że miał kołtun na
łbie, i wszy go gryzły; rozgniewał się o setki
lat niewoli j upokorzeń; rozgniewał się o baty,
co mu od urodzenia gwizdały nad uchem. O to
się rozgniewał... A mnie rozpacz porwała, że on
za to na mnie się gniewa, I nienawiść się we
mnie zagotowała za to, że on taki zły i mściwy;
że zamiast kwiatów, blachę nosi na piersi i szczyci
się nią przede mną.

I oto obsypałem go gradem klątw i zlorze-
czeń,

— Kładź, chamie, kajdany! Łeb ci niemi
rozwalę!

Ręce trzymałem wyciągnięte, a on poczuł,
że śmierć trzymam w tych rękach... Zląkł się
o siebie, czy nade mną ulitował — nie wiem...
Schował kajdany do stolika i patrzył na mnie
frasobliwie.

— E, bo tu różne ludzie chodzą...

Żal bezradny w słowach jego zadźwięczał,
a spojrzenia jego były wstydlive i drżące. Był
to już tylko ten sam zahukany chłop, którego
przygniata dąb przy rąbaniu lasu.

Poszedłem ze stróżami...

Szliśmy przez nasze szerokie gościńce, nie-
równe i wyboiste. Mijaliśmy chaty brudne, gdzie
człowiek ze zwierzęciem mieszka; czasem przy-
stawał jakiś człowiek: popatrzył, splunął i po-
szedł... Po podwórkach biegały samopas brudne
i obdarte dzieci, drapały się po płotach lub
huśtały na żerdziach. W jednym miejscu po-
biegły za mną i przyglądały mi się ciekawie, wy-
minęliśmy ich — zaczęły rzucać grudkami błota.
Obejrzałem się, a one, wychylając głowy
z za chałupy, krzyczały ze śmiechem:

— Parsywy ślachcic, parsywy ślachcic.

Tak mnie witała ojczyzna...

Słuchasz mnie pani, i blask dziwny oczy ci
promieni. Lubię te oczy zasłuchanych blasków ..

Lubię ci mówić dalekiej to, co nie było i śmiać się z tego, co było. Lubię cię, której niema... Ale czekaj pani, opowiem ci inną powieść...

Szedłem ulicą Warszawy zmęczony daleką podróżą... Nogi miałem spuchnięte i przystawałem co chwila, żeby odpocząć. Ale przechodniom nie podobało się, że im za dużo miejsca zajmuję.

— POCO to to chodzi? — dziwili się.

Stanął masarz w drzwiach sklepu, mrugnął okiem pogardliwie i rzekł:

— Znam cię, nędzoto. Nie wart jesteś, że żyjesz. Funta kiełbasy nie masz za co kupić.

Z wysokiego kozła spojrział na mnie dorożkarz nienawistnie i złorzeczył:

— Wlecz się, wlecz, podły człowieku. Dziecko mi z głodu zdycha, a ty mi czterdziestu groszy nie dasz zarobić.

Przechodziła strojna dama chodnikiem, wydeła usta lekceważąco:

— Zejdź z mojej drogi, bo mi blask brylan-

tów gasisz. Jak śmiesz patrzeć na mnie? piękna jestem, złote pierścienie noszę na palcach. A ty nędzarz — nie lubię cię.

Stanął portjer w przedsionku teatralnym...

— Hej tam! na bok, oberwańcze! Zazdrość Otella na sprzedaż... Do nas cylindry, do nas lakierki. Precz z oberwańcami... Idzie pierwsza

artystka, co jest pierwszego żandarma utrzy-
manką...

Szedłem ulicą Warszawy, co chwila przy-
stawałem... Zewsząd słyszałem słowa nienawiści,
gniewu i pogardy. Przechodnie żal mieli do mnie,
że im zawadzałem. Przedemną i za mną cią-
nęły niezliczone tłumy — głucho, sztywne i nie-
nawistnie obojętne. „Nie lubimy cię”...

Dopiero, gdy z tej fali ciemnej wynurzyła
się postać baletnika ze złotą obrożą na szyi
i z nogami hasającymi ponad głowami, prze-
chodnie uśmiechali się doń z życzliwym szacun-
kiem i sfruwały kapelusze ukłonów.

— Lubimy cię, bohaterze naszych operetek.

— Kochanek nasz idzie.

— Klijent nasz idzie.

A on protekcyjnie patrzył na promienie

słoneczne, i nie widząc ukłonów, wchodził do
restauracji.

Szedłem i śmiałem się...

Wyskoczył z kościoła człowiek w trykotach,
zmęczony tańcowaniem ewangelji, spostrzegł
mój śmiech i rzucił we mnie książką do nabo-
żeństwa. Ale książka upadła na ziemię, wysy-
pały się z niej święte obrazki, i lud wierny po-
czął je zbierać. On błogosławił wierne i zbie-
rające i w otoczeniu obrazków poszedł na „kilka
roberków”...

Patrzyłem z rozkoszą ironji...

— Czemu się krztusisz maluczki? — pytał właściciel powozu.

— Nic, nic, maluczki! — odparłem. — Żal mi cię, że się trudnisz biciem człowieka, co ci złote orzeszki zwozi. Boję się, czy cię nie zabolęła ręka?

Kazał podciąć konie i znikł mi z oczu.

Szedłem ulicą Warszawy, co chwila przystawałem.

I oto przed jedną wystawą księgarską, gdzie handlarze płody głupoty ludzkiej rzucali na pokaz portmonetom, zostałem dojrzany przez dawnego znajomego. Był to mój kolega szkolny,

który znał cały alfabet po kolei od początku i od końca, jako też na wyrywki. W nagrodę pilności został aptekarzem i do wspólni z lekarzami wmawiał w ludzi, że choroby należy leczyć w ten sposób, aby on mógł codziennie pić koniak. Uczniem będąc, zjadał był mi ukradkiem drugie śniadania, a ja go za to biłem. Stąd węzły przyjaźni...

Ucieszył się bardzo, gdy mnie zobaczył, bo był aptekarzem i nic innego czynić już nie umiał, tylko się cieszył.

Zaprowadził mnie do siebie do domu. Pilno mu było pokazać się całego, chociaż i tak znałem go w całości, i pokazywał mi rozmaite szczołeczki, bindy, krawaciki, karty pornograficzne...

— No cóż? prawda? — chwalił się. — Ani

jedno marzenie dziecinne kopyt nie połamało.
Poprowadziłem go do lustra i, wskazując
ręką, rzekłem:

— Oto jest człowiek, który między kołyską
a apteką nie zobaczył nic, prócz urzeczywist-
nienia.

On zrozumiał mnie po swojemu i zajaśniał
dumą. Podbiegł żywo do szafy, do stolika,

i wyciągając szufladki, pokazywał mi resztę
szczoteczek.

— Ogromnie kontent jestem, że cię spot-
kałem — cieszył się. — Musimy pójść na kola-
cję... Nawet dziś nie mam z kim. Tylko czekajże,
weźno mój żakiet. Zaraz będziesz inaczej wy-
glądał.

Wyciągał z szafy modną odzież i pchał mi
ją na grzbiet...

Patrzył na mnie z zadowoleniem.

— Wiesz co? szkoda, że nie zostałeś apte-
karzem.

— Et, zdaje ci się, że szkoda...

On zrobił w powietrzu jakiś przewspaniały
giest ręką i rzekł z powagą:

— Słowo honoru ci daję... Nawet u nas
w „budzie” jest jeden „fako” zupełnie podobny
do ciebie.

— I z czegóż to podobny?

Zaśmiał się...

— Dobre sobie... Z oczów, z nosa, z włosów:

z czego chcesz.

— Nie wierz w takie podobieństwa.

— No, no... Muszę was poznać, jak Boga kocham.

Poszliśmy do restauracji. Gwizdał po drodze melodię z najświeższej operetki.

Gdyśmy weszli, kłaniali mu się kelnerzy, uśmiechały się kokoty zalotnie. Na mnie patrzano podejrzliwie...

— Lubisz bażanty?

— Spróbuję...

Stał przed naszym stolikiem kelner z białą serwetką i znowu się kłaniał. Aptekarz nachylił się nad mem uchem i szeptał:

— Pluń mu w oczy.

Zdziwiłem się?

— Za co?

— Za to, że jest kelnerem.

— Kiedy nie umiem... — tłumaczyłem się.

— E! ty, widzę, życia nie znasz zupełnie.

Sam splunął i jeszcze więcej się ucieszył.

Kelner podziękował mu i poszedł po bażanty...

On znowu się ucieszył i spytał:

— Może weźmiesz tę ładną blondynkę na noc?

— Nie! nie wezmę tej ładnej blondynki na noc — odrzekłem.

— To kopnij ją nogą.

A widząc, że nie słucham jego rady, pod-

szedł do blondynki, uściskał jej rączkę, pogłas-
kał po głowie, a później kopnął nogą.

Ona zanosila się od śmiechu i mówiła:

— Ten błazen obiecał mi złote kolczyki
i słowa dotrzyma.

W tej chwili kelner przyniósł tacę z kolacją,
i zaczęliśmy jeść... Aptekarz opowiadał mi bar-
dzo obszernie o balecie i o pewnych białych
majteczkach. Pił koniak i chwalił, że dobry.
Przy wejściu jakiegoś opoja oderwał się od
talerza i przyklęknął...

— Czemu to czynisz? — spytałem.

Spojrzał na mnie pyszałkowato i odparł:

— To bydlę ma półtora miliona gotówki...

I... zaczęliśmy pić kawę z likierem.

Aptekarz opowiadał mi ciągle o balecie
i o pewnych białych majteczkach.

Wysłuchałem go do ostatniego likieru i za-
pragnałem, aby on mnie troszeczkę wysłuchał.

— Powiedz mi, mój słodki aptekarzu, co
też jutro będziesz czynił o tej godzinie? —
spytałem?

— Jutro? — zaśmiał się serdecznie... —

Przyjdę do tej dziury, zjem kolację i będę pił
kawę z likierem.

— Dobrze — mówiłem — to: jutro... A po-

wiedz mi też, mój słodki aptekarzu, co też pojutrze będziesz czynił?

— Pojutrze, pojutrze...

Zastanowił się...

— Rzecz prosta... przyjdę do tej dziury, zjem kolację i będę pił kawę z likierem.

Ale ja nie ustępowałem.

— Ślicznie, mój słodki aptekarzu... A powiedz mi, co będziesz czynił za dwa tygodnie?

— Za dwa tygodnie?... za dwa tygodnie?...

Czoło mu się zbruździło. Pocierał je ręką... Pracował wszystkimi myślami. Nagle, jakby coś zapomnianego przypomniał, uradował się...

Śmieszny jesteś... Za dwa tygodnie przyjdę do tej dziury, zjem kolację i będę pił kawę z likierem.

— Ach, tak, prawda... A powiedz mi, mój słodki aptekarzu, co też za sto lat będziesz czynił?

Zląkł się... Oczy mu się chwiały — coś żalostnego w nich było. Bojąc się, że mnie nie zrozumie, sam mu podsunąłem myśli. Wyjąłem

z kieszeni rysunek z trupią główką i mignąłem mu przed oczami.

Aptekarz po raz pierwszy przestał się cieszyć.

— Za sto lat — mówił z rezygnacją — nie będę już jadł kolacji, lecz będę w niebie.

— Niby za te kawy z likierami? — poderwałem...

Gniew mu przyskoczył do pyska... Rzucił się na mnie z pięściami i wrzeszczał:

— Dosyć już... Tak mi za żakiet dziękujesz, niewdzięczny?

Chwyliłem ze stołu kieliszek i rozbiłem mu go na czole.

Czerwona wstęga krwi zarysowała się na poblądłej twarzy — drżał cały...

I nagle poczułem coś w rodzaju wyrzutu sumienia.

Pożałowałem rozbitego kieliszka...

Tylu aptekarzom mógł jeszcze służyć...

Ale czekaj pani, opowiem ci inną powieść.

Będę nieestetyczny, ale inaczej być nie może... Będę trywjalny, ale tak być musi...

Będę fantastyczny, ale to jest potrzebne do prawdy...

Zakochałem się w dewotce.

Dewotka miała męża, który ją karmił i znosił kapelusze... Bogu oddawała modlitwy a księżom ciało... Kochałem się w niej bardzo długo.

I dlatego właśnie, że się kochałem w dewotce, musiałem przedwcześnie umrzeć. Zmartwiłem się i umarłem.

Poszedłem do proboszcza, „dzień dobry! jakże tam brzuszek? Czyby mnie proboszcz

nie pochował?"

— Proszę: siadaj pan. Bardzo mi przykro, że pan już umarł... Chwała Bogu, że nie któryś z moich partnerów.

— O tak! bez wątpienia...

— Czy mogę służyć papierosikiem? Pan, zdaje się, nie spowiadał się przed śmiercią?

— W istocie... nie zdążyłem za życia...

— To źle... pięćset rubli drożej będzie kosztował pogrzeb... Służę zapalczką.

— Dziękuję...

— Ale pan, o ile sobie przypominam, nie bywał na moich kazaniach?

- Och! wyznaję z zadowoleniem: unikałem tej rozkoszy.

— To już czysta bezbożność... Dopłacisz pan za to jeszcze pięćset rubli... No, niema co... płać pan —.

— A czyby tak nie można zamienić pieniędzy na jakąś pokutę?

— Niby jaką?

— Nie znam się na teologii, ale tak myślę: może kilka tysięcy litanji, biczowanie jakieś, wreszcie odkłęczeć... Gzy ja wiem?

— Pan drwiesz ze mnie...

— O wielebny! nie drwi ten, kto grosza nie ma w kieszeni.

— Jakże pan śmiesz wobec tego prosić o pogrzeb? Trudno! siadaj pan: wyłupię panu

oko.

Zacisnąłem zęby... Nogi w ziemię wparłem
z całej mocy...

— Oh!... boli...

Za chwilę byłem już bez oka.

— Amen... — rzekł proboszcz. — Teraz idź
pan dzień poleżeć w domu, dzień w kaplicy,
na trzeci dzień pana pochowam...

— Moje uszanowanie...

Poszedłem... Ale, że czułem ból w oczodole,
jąłem ostrzegać wszystkich przechodniów, by
nie umierali i aby księżom nie płacili oczami.
Nie zdążyłem dojść do domu, ksiądz za
mną...

— Mój panie! jakże tak można? Pańskie
oko — szklane. Ja pana nigdy nie pochowam.

— Nie! to nie! — pomyślałem...

I obyło się bez pochówku.

Aliści ksiądz zaprzysiągł mi wieczystą zemstę.
Odtąd też krok w krok chodziła za mną
jego nienawiść.

Przyzwyczałem się do niej i przestałem
o niej pamiętać...

Czas szedł, mijały lata, a ja wyleczyłem się
z dewotki, z przedwczesnej śmierci, z pogrzebu
katolickiego i z wielu innych rzeczy.

Chodziłem po wsi rodzinnej i słuchałem
pieśni siermię. Smutne były i rezygnacji pełne...
Krzywdy wszelkie i zło wszelakie na Boga skła-

dały i nie kazały człowiekowi wierzyć w jego moc własną.

Człowiek w piersi pięścią się grzmocił i powtarzał: „moja wina”, ale głuchy był na wszystko, nawet — i na winy.

Smutne pieśni pojękiwały po izbach, jak wiatr kajścić w polu wylęgły, i chodziły z siermięgą po świecie, jak pies za gospodarzem po obejściu...

— Spaliła ci się stodoła, chłopie, spaliła...
płać podatki... Żonę chłopie zabiłeś, że ją dziedzic uwiódł... Powieszają cię... Król pokłócił się z królem... Ślij, chłopie, synów na wojnę... Kalekami wrócą...

Tak!...

A później rzucali się krzyżem na ziemię i jęczeli:

— Wszystkie nasze dzienne sprawy.

I wierzyli, że On to właśnie kazał...

Smutne niewolników pieśni... Bólu pełne, a bez wiary nijakiej.

Postanowiłem ich nauczyć własnej pieśni — Hymnu Wyzwolenia...

Chodziłem do chat po omacku, żeby mnie księżyc nie zobaczył, i uczyłem.

— A ile tez grontu mi dadzu, jak się wyuce — pytał bogacz, Bartosz.

— Nic nie dadzą — mówiłem...

— To po co se ta mózg łamać...

Inny pytał, czy „nie wyprawuje działki po

nieboszce?"

Stary Jaśko rozgniewał się, że dopuszczam do śpiewania — parobków.

— Jakże im z gospodarzami w kupie? Jak świat światem tego nie było...

A ja chodziłem ciągle po chatach niewolników i uczyłem ich Hymnu Wyzwolenia. Głowy na rękach opierali i słuchali pieśni, aby ją natychmiast zapomnieć. Inni utrzymywali kilka słów w pamięci, ale przekuwali je w piece chlebowe, gdzie czarownice piekły im smaczne podpłomyki.

Większość słuchała mnie z ciekawości, tak jak się słucha kataryniarza albo pijaka... Umilkła katarynka — „wio siwy! trza się worać sumsiadowi...”

A byli już i tacy, którzy podśmiewali się ze mnie po cichu...

— Cudak ta, i tyle — mówili o mnie.

I znalazłem tylko pięciu, którzy mnie bacznie słuchali. Jednego za to ojciec z domu wypędził, drugiego porzuciła dziewczyna, trzeciego wykleła matka, czwarty „postradał” służbę u gospodarza... Piątego tylko nikt nie pokarał, bo był sierota, i nikogo na świecie nie miał...

Chodzili za mną ci pięciu i uczyli się melodji.

A gdy oczy już pieśnią im się rozżarzyły
i zapłonęły serca, zaprowadziłem ich na środek
wioski i uderzyliśmy o niebo naszym Hymnem.
Marzyłem: otoczą nas przyjazne ramiona
i pójdą z nami...

Przez okna zaczęły się wychylać głowy,
z izb wychodzili ludzie, gromadkami ku nam
dążyli...

I oto ci, co przedtem mieli drwiący uśmiech
na ustach, stali w niepewności i uchyliłi czapek...

Zdawało się: powiew pieśni rzuci ich za
chwilę na kolana...

Nagle oczy wszystkich zwróciły się w stronę
plebanji.

Leniwymi krokami, uchylając się pod cięża-
rem ciała, szedł proboszcz... Poznał mnie zda-
leka — błysnął oczami nienawistnie.

Tłum czekał...

Proboszcz wydrapał się na parkan i zawołał:
— Nie wierzcie mu: to oszust.

I mignął im przed oczami moim szklanem
okiem.

Z tłumu wydarł się dławiony pomruk. Ci,
którzy mieli upaść na kolana, rzucali we mnie
groźby i przekleństwa... Ktoś zaśmiał się —

fala złego śmiechu zahuczała w tłumie, pękła
i umarła... Ksiądz mrugnął na mnie szyderczo,
zaintonował litanję i poszedł... Naród — za

nim... Pozostał przy mnie tylko ten jeden piąty,
co był zupełnym sierotą...
Poczułem wkoło siebie nienawiść, gniew
i mściwość tłumów... Ksiądz chodzi odtąd ciągle
za mną, dmucha w te nienawiści, aby je roz-
palić w pożar, i pokazuje ludziom moje szklane
oko. Oni nie wiedzą, że to oko szklane... ksiądz mi sam
wyłupił, idą za nim i błogosławią mu,
a mnie przeklinają...
I tak będzie aż dotąd, póki się nie nauczą
mej pieśni...
Wtedy zabijemy księdza „Hymnem Wyzwo-
lenia”...

Słuchasz mnie pani smutna, patrzysz, i już
o nic nie pytasz. Słuchaj mnie! Kiedyś, kiedyś,
gdy niedokończone powieści będą już tylko
przeszłości maligną, wrócisz na te miejsca,
gdziem ci opowiadał, i powiesz: „on pierwszy
tak mówił”... A ja wtedy już dalej iść muszę,
i będę ludzi wołał mową obłąkanego.

NOTATKI OBŁĄKANEGO

Pamiętnik włóczęgi.

WYZNANIE.

Wyciągam ramiona do miłości, któraby za
mną przez życie poszła, a kobiety patrzą na

mnie z drwinami i krzyczą: „zapłać”.
Chciałem oddać dziewczęciu tęsknoty, ale
ona zgromiła mnie... że mam podarty surdut.
Nauczyłem się teraz śmiać...
Patrzę w cuda-oczy i śmieję się; bawię się
rączką-jedwabiem i śmieję się; serce się
łzami zalewa i... śmieję się...
Raz się żartami spytałem cudzej żony, dla-
czego w dniu jednym, zapominając zdradzić
męża, nie zapomniała odmówić codziennej
litanji?
Nazwała mnie nieprzyzwoitym...
I przeto kocham cię, kobieto!... Nikim tak
gardzić nie umiem, jak tobą... Ty jesteś słoń-
cem słońc moich... Wymarzyłem w tobie czło-
wieka...
Dlatego anioła kocham w prostytutce.

W NIZINACH.

Widziałem duszę w rynsztoku zabita, co
miała postać człowieka, ale policjant stał z ka-
rabinem i bronił mi dostępu. A przecie ciałom
zmarłym pogrzeb wyprawiają i modlą się dy-
mami kadzideł...
Idźcie! upijcie się na stypie ludzkiej duszy.
Prawda? wesoło nam —.
Judasz się powiesił...
A kto mi teraz przyjdzie kłamać waszego
Boga?
Pokora? miłość? przebaczenie? jagnięca

cichość? — wiem, wiem: słyszałem... I to już
było... I tego już nigdy nie było...
...Naści, księżę, talara: sprzedaj mi Chrystusa...
Haha... nana... Judasz się powiesił...

BEZ NAPISU.

Odczytałem wczoraj pewnego człowieka.
Mniejsza o numer... Śniady był cały od życia,
ale w oczach ognie mu się paliły.
Dziwiłem się jego mocy.
Wtedy on, co latami mógłby być moim ojcem,
uchylił głowy przede mną i pocałował mnie...

Śmiali się wszyscy i mówili, że się upił...
Lubię pijanych...

AMOR AMBULANS.

Wydekoltuj, wydekoltuj więcej duszę, ko-
bieto.
Pokaż całe mięso twej nagości...
Patrzcie, jak rozpycha motłoch uliczny sze-
lestami jedwabiów. Rozstępują się, gniotą sobie
odciski...
Dumną jest... czuje rozkosz władzy podobną
rządcom krajów...
Przeszła, przeminęła...
Już w tych stronach, gdzie się tłumom uka-
zywała, inna teraz panuje...
Rzeźbią ją, malują, śpiewają...
Rozstąpcie się!...

Sztuka idzie — słońce idzie i rozsiewa blaski
— srebrny anioł chodzi po świecie —.

A imię jej — pomywaczka...

Szedł mędrzec koło niej, zatrzymał się i za-
płakał:

— Siostró moja nieszczęsna, siostró biedna!
gdzie-żeś podziała siebie? Jakże człowieka
w tobie stratowali...

Ale przechodnie mijali go i potracali, bowiem
wszyscy bez uszu byli...

IRONJA.

Zdrowie twoje piję, szatanie... Zrezygnujmy!
Trzeba się zdać na Bożą łaskę...

Bankier, biskup — ktoś zawsze rzuci ochłap.
Trudno: trzeba odprawiać mszę w ich przed-
pokojach...

— Wierzę w Boga Ojca, Wasza Ekscelen-
cjo... W Rzymskiego Antychrysta... także — bez
zastrzeżeń. I wierzę w głód, zarazę i wojny,..
Czy bodaj Wasza Ekscelencja ma jeszcze wolne
kości od ogryzienia?

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...
Szatan patrzy mi prosto w oczy i krztusi
się urywanym, nerwowym śmiechem.

MIARY I WAGI.

Myślę nieraz, czy warto upaść aż do wyso-
kości cnót... Ale siły moralne trzeba tak samo

kupić w kramiku, jak mąkę na kluseczki.
Nie można być uczciwym, dobrym, wspaniałomyślnym; można tylko zdobyć kredyt na uczciwość, dobroć, wspaniałomyślność.

— Ile acan masz dochodu rocznego?

— Tyle, a tyle...

— Masz otwarty kredyt na tyle, a tyle przymiotów.

— A jeśli mi się wywicznie noga i okradnę wasze zaufanie?

Śmiało, młodzieńcze. Masz kredyt na wszelkie złodziejstwa. Tylko... trzeba wystudjować miary i wagi i znać swoją cenę rynkową.

— Dziękuję... Zawsze byłem idealistą. Zacznę od kradzieży...

Raz podsłuchałem rozmowę ojca z synem...

— Łajdak Combes — krzyczał ojciec.

— Nie, ojciec, Combes wcale nie jest łajdakiem — protestował syn.

— Jesteś skończony błazen — huknął mu nad uchem ojciec.

Syn powstał i zbladłymi słowami mówił:

— Dziwi mnie, że ojciec mówi mi impertynencje, gdy ja ich ojcu nie mówię.

Stary podskoczył i wył:

— Ty mnie? impertynencje?... A toż kości-bym połamał...

Mówiąc to, wywijał rękami i pokazywał swoje niezwalczone argumenty, — mocne, wykarmione

muskuły. Syn był chory, dostał ataku nerwowego...

Ten ojciec miał poprostu ugruntowaną słuszność, czyli posiadał dużo kredytu na słuszność. Był więc „wzorowym ojcem”, „wzorowym obywatelem”, „wzorowym politykiem” itd.

WYJAŚNIENIE.

Pytała mnie akuszerka, do jakiego fachu należę?

Odparłem, że do żadnego...

To ją oburzyło... Szlachetne, piękne oburzenie!

W kilka dni ktoś, dlaczegoś tam powiedział jej, że ja „piszę wiersze”.

Powitała mnie słonecznym, barwnym uśmiechem i obsypała zalotnymi wyrzutami.

— Pan żartował... Pan za skromny... Pan jest przecie poetą.

— Muszę panią wyprowadzić z błędu — odrzekłem. — Jestem poetą, ale za moje wiersze pół grosza jeszcze nie zarobiłem.

— Tak? A to się zmienia postać rzeczy. Spojrzała na mnie wyniośle i odeszła tak

dumnie, jak paw odchodzi od niezgrabnych

kaczek prozaicznych.

Myślała zapewne, o ileż wyżej stoi akuszerja od poezji... A ja pomyślałem, o ile jednak nożownictwo wyższe od akuszerji.

OCZY.

Mam ogromnie wypłowiałe oczy. I to jest przyczyną moich klęsk. Niedowidzę... Nie mogę się porozumieć z resztą ludzi...

Oni mówią: „patrzcie! bohater jedzie”...

A ja wołam: „baczość! nie dawać poklasku zbrodniarzom”.

Oni klękają i szepczą: „Boże! daj zdrowie temu świątobliwemu staruszkowi”.

A ja obrzucam go zezem i mówię: „kiedyż przestaną u licha czcić tego błazna komedji katolickiej?”

Oni zachwyconemi palcami ukazują i pysznią się: „oto nasi ojcowie narodu”.

Ja wydymam usta: „Co ci giełdziarze serc poza klubem karcianym robią?”

Oni mówią: „chodźmy bracia do naszych pięknych, do naszych szczytnych ku ludzkości zbawieniu zamierzonych prac”.

Ja podwijam nogi pod siebie, zapalam papierosa i cedzę przez zęby: „idźcie woły do waszych taczek, rozpychać głupszych i słabszych”. — Przeto mam licznych wrogów. Ludzie nie lubią moich prawd z mojego patrzenia

idących. Wzruszają ramionami i nazywają mnie... „obłąkanym”.

To mnie cieszy... Zaglądam im w oczy i śmieję się...

Ale oni nie tylko nie lubią moich prawd, — śmiechu mego nie znoszą.

Gdy usłyszą taniec mojej ironji, z postronkami biegną i wiązaćby mnie chcieli... Lecz ja wtedy cicho, jak gasnący księżyc, uderzam ich po twarzach mojemu wypłowiałemu oczami i niemym spokojem odrzucam od siebie ich kłapiące zęby.

WIOSNA.

Mieszkałem naprzeciw pensjonatu. Lubiłem patrzeć przez okno, jak młode dziewczęta wychylały główki i z ciekawością śledziły moją ciekawość.

Znałem je wszystkie z uśmiechów i ruchów, choć nigdy nie zamieniliśmy słowa przez usta.

Wiedzieliśmy wszyscy jedno: pożąдалиśmy się wzajem...

I tak pożądany przez moje dziewczątka z przeciwka, patrzyłem codziennie przez okno, marzyłem objąć ich żary i... szedłem do domu publicznego. One odsyłały mi w podzięcie spojrzenia prześliczne i... na histerję były leczone, a do spowiedzi pędzane.

MARTWY KOŚCIÓŁ.

Lubię czasami stąpać po moim zamarłym kościele, po trupach gwiazd moich zabitych. Słońca niema nade mną: zimno mi i pusto na świecie. Tam huragany kiedyś pod nogami wyły, tam orły skrzydeł żaglami o myśli moje się tarły. Na rumowiska snów podartych patrzę, jak bóg, któremu spalono świątynię, i cisza nienawiści mnie kąsa.

Byłaś złota i droga, dziewczyno... Ale prefekt Boga cię uczył a kupiec miłości, i miłość za Boga sprzedałaś, a Boga za prefekta. I jesteś teraz wzorową małżonką i matką i umiesz wypiekać ciast dziesięć gatunków, a ja mam serce rozdarte.

Wołam cię — nie idziesz, odpycham cię — całujesz...

I wszystko, co było we mnie bez ciebie, i wszystko, co przetrwa we mnie bez ciebie — pocałunkami zadławić pragniesz.

— Patrz! wloką Chrystusa pod krzyżem.

Podaj mu kroplę wody.

Rzucasz się bezmyślnie na wygięte przez baletnika kolana i z wyuczoną przed lustrem pozą, powtarzasz słowa modlitwy.

— Widzisz! Kajus Brutus idzie... Niecierpliwy sztylet jego wybłysnął, jak piorun losów niedościgłych... Przeklina zbrodnię i w wieki zbrod-

niarzem wchodzi.

— Szkoda mi go — mówisz i poprawiasz motylki na kapeluszu.

— Pójdź jeszcze! pójdź tu! Widzisz, jak starzec Torkwemada Boga obcasem rozbija i świat otrzepuje z tlejących iskier piękna... Okurzy go, ogołoci do szczętu...

Pójdź, luba! zmiażdżmy czerep starcowi i pošlemy go do Rzymu w prezencie. Obetrzyj oczy z tego pyłu, który rzucił na ciebie stary dominikanin... Widzisz, jak tam konają, mrą, siepią się... A idą, a idą, jak czarne dymy z ko-

minów — papież im słońce zagasił... Tylko fijołki kwitną po dawnemu, tylko słowiki śpiewają...

A tam na przedmieściu katolicyzmu szum wstaje... Idą szare, koszlawe mnichy, na ucztę idą piekielną... Płomienie do góry buchają — przypatrz się. Widzisz? Te morza krwi? Te dławione jęki? Widzisz? Widzisz? Chryste! niebo pękło i szturcha mię w głowę... Husa mi palą, niewiasto! — Husa mi palą!...

Ona patrzy na mnie znużona i mówi:

— To już tak zapleśniało...

I widzę, jak zrzuca suknie z ramion i... woła mnie do łóżka...

NAGANA.

— Śpij, sprawiedliwy człowieku, śpij! Móż-

dżek cielecy na obiad dostałeś, a na kolację bułeczkę: możesz ją w mleko wdrobić lub połknąć w całości... Godło człowieka nad twojem łóżkiem wisi — strzelba dwururowa, pod strzelbą — krzyżyk malutki. I wiem już, komu hetmanisz, i tobie kto może hetmanić: w strzelaniu a modlitwie żywot ci upływa. Twój synek mały biczykiem wywija i kamykami już rzuca w ma-

łych obdartusów: będziesz miał z niego pociechę. Drugi syn blaszki w pudełeczka układa, rachuje i zamyka: to przyszła chluba narodu. Setki milionów groszy ludzkiego potu wyciśnie, krajowy przemysł wzbogaci o tysiąc suteryn nędzy. Tylko syn trzeci, sprawiedliwy człowieku, nie udał ci się, widzę... Z garbuskiem jednym poprzestaje, a gdy podwieczorek otrzyma, nie sie swój smaczny chleb z powidłami małej hałastrze na podwórko. Źle go pilnujesz, sprawiedliwy człowieku.

TWÓRCZOŚĆ.

Gdy noc się zawiesi nad ziemią, i cisze znów w mrokach się kapią, — ja i mój brat-szatan chodzimy wtedy po świecie.

— Drap w okno, drap w okno, szatanie!

Spadliśmy burzą, ukazaliśmy się nagle w błyskawicy i załaskotaliśmy.

— Pokaż no sumienie, człowieku!

— Boję się: lękliwe, jak dziecię — ktoś mi

je sadzą wymazał.

Puknęliśmy w lufcik, twarze do szyby wkładamy.

— A befsztyk był smaczny?

— Odejdźcie! Lekarz mi nakazał.

Skrzypnęła podłoga pod nami, rozrzucamy upiory wkoło.

Nie pamiętasz nas?... sny dawne twoje. Tak płakać umiałeś, tak nas tulić umiałeś. A teraz my od zimna pobladły, a dygotamy od deszczu... Weź to pisklę małe na ręce... Fabrykant batem je wyciął, a ono płacze z bólu i wstydu.

— Wiem... brat mój młodszy śpi w sąsiednim pokoju — do niego idźcie... Mój siostrzeniec dorasta — jego budźcie. Kości mnie bolą od życia: puchu mi potrzeba, poduszek mi potrzeba... Wy tego nie macie... Głód — waszą niańką. Krew w zanadrzu nosicie i znaczyście nią czoła potępieńców. Głód, krew i nieziszczone pragnienia. Prometeusz pragnął... wiecznie iść, iść i iść — tego żądacie... I nigdzie wypoczynku... Nogi mnie bolą — nie mogę. Wiem już: poznałem was... przymierze djabła z artystą... Dwaj prometeusze... Nie pójdę po ogień: ręką sobie poparzył.

A jednak zrywa się z łóżka, świecę już zapalił, boi się cienia własnego...

— Drap jeszcze, drap w okno, szatanie!

Ustawiamy szubienicę przed oknem, rzucamy na nią wisielca.

— Nie poznajesz mnie, bracie? oh! jak boli powróż...

Za sny nasze... pomścić mnie miałeś... A teraz położyłeś się i pilnujesz, by ci poduszki z pod głowy nie wydarto.

— Drap mocniej, drap w okno, szatanie...

Słyszysz, jak łyzy jego szeleszczą. Głowę na rękach oparł i płacze... Drap mocniej! Zrywa się — oczy jego gromom podobne... Ubiera się — odchodzi... Za oknem burza go przywita — on nie patrzy... Za oknem pioruny warczą — on nie słucha... Za oknem wichur siepie go po twarzy — on nie czuje... Już idźmy, szatanie, uratowaliśmy człowieka... Może wisielec nowy — mniejsza o to: i nas powieszają...

Idźmy dalej, szatanie... Na ciche łoża dziewicze, w grona młodzieńców obłąkanych, w głucho domostwa nędzarzy... Burzą wiejmy, wichrem wiejmy! Nie dajmy im zasnąć... Świtby przespali... Bogaby przespali... Idźmy prędzej, szatanie!... My nierozdzielni, my jedyni w sobie, — my dwaj bogowie — ja i mój brat szatan.,.

Napiszę ci wierszyk w albumie... Wiem, że go przeczytasz, że czytać go będziesz całe ży-

cie, bo to dla ciebie, bo to w twoim albumie... Wydadzą cię za męż — mąż twój będzie bogaty — Bóg wie zresztą: może bogaty, może nędzarz wielki — złoto czasami od łachmana nędzniejsze... A ja napiszę ci wierszyk... Przeczytasz, bo to dla ciebie...

Łez kilka rzucę, przepłotę wiązaną kwiatów... Roztworzysz kiedyś album od niechcienia, zamyślisz się i spytasz: „skąd tyle kwiatów koło mnie?”

A wierszyk mój, to dziecię drobne, które nigdy nie umiera, stanie przed tobą, i znowu zamyślona spytasz: „skąd się też tyle łez wzięło koło mnie?”

Tak!... łzy i kwiaty, kobieto...

A jeśli je rzucam, to na to, aby bolały i aby ci mogły być niebem...

Napiszę ci wierszyk w albumie... Przeczytasz, bo to dla ciebie...

SAMOTNOŚĆ.

Niema przy mnie nikogo... Którzy byli — odeszli, nowi — daleko jeszcze...

— Chodźcie! pokażę wam nową sztuczkę.

— Sztuczka nowa, sztuczka, — wołają...

— Uspokójcie się... Żarcik restauracyjny: nic więcej.

Kto chce kawałek łańcucha w podarunku?

Wszak płacicie za łańcuchy. Za darmo oddam... Dwa arszyny łańcucha w prezencie...

Bądź pozdrowiony, młodzieńcze, który się śmiejesz pełnem gardłem... Pójdź do mnie na pudła...
— Co to było? co było? — krzyczą...
— Nic... ślina... — odpowiadam...
— Warjat jakiś, warjat! — wyją.
— Tak, warjat... Zaraz się na latarnię wydrapię. Do widzenia, szlachetni panowie... spieszcie się do biur... A nie zapomnijcie łańcucha...
— Hej! tłумы... X. na mydle zbankrutował! śmierć milionera...
Rzucili się łokciami i wzrokiem na miejski kurjerek i popłynęli w nicość...
Stałem przy latarni i patrzyłem na nich długo, długo jeszcze.

HIGJENA.

Zdrowo jest usiąść na złoconym ołtarzu, opić się ambrozji i mówić przez chmury: „jam jest cielcem waszym, o śmiertelni”. Czasami

cieliec z sąsiedniego ołtarza uszczypnie w szyję, albo głośniej językiem mlaśnie — wtedy ludzie zbierają się na wiece, z mądrym szelestem swoich mądrych ksiąg karty przewracają — i to jest także bardzo zdrowo...

Zdrowo jest głowę oprzeć na ramieniu ślubnej hetery i zamówiwszy w restauracji porcję ideałów na dwie osoby mówić przez zęby: „otośmy motłoch przerośli o cały gabinet restauracyjny”.
I zdrowo jest po same uszy w trawę się za-

nurzyć i oblepić się malowankami moralności,
a kiedy słońce wyjdzie opromieniać, trawy za-
wołać stróża nocnego i kazać, by je przyareszto-
wał i do cyrkułu odprowadził... Lecz jest w aresz-
towanym słońcu wielka pycha i litość dla trawek»
przyziemnych, — i to jest bardzo niezdrowo.
Niezdrowo jest być siewcą ziaren po ugo-
rach, kędy objął panowanie perz, i wisieć na
szubienicy, ale jest zdrowo być cieślą szubie-
nicy i mieć swój mały ganek w społeczeństwie
i rodzić rachityczne dzieci...

SZAŁ.

Powódź snów. — Leca, jak zbłąkane ptaki,
zwijają się, pędzą...

— Hura — ha!... hejże — podpalajmy niebo...
Odkąd niebo podпалиłem pożarem mego prze-
kleństwa, stygmat bólu wycisnął mi djabeł swoją
piętą, i boska moc moja sama się poznała w so-
bie...

Będę burzył...

Już, jak płatki blade, fruwią gwiazdy koło
mnie, odczepiłem je od słońca, oderwałem, rzu-
ciłem.

Tam stada ludzkie rozpychają się o kawał
ziemi, którą morze zaleje i wrzuci na milion
lat w wodę. A oni biją się o nią — przekleci...
Już wytaczają armaty i zębami za kudły się
chwytają. A ja patrzeć muszę, jak się krew

leje — głupia, zła, czerwona, niewinna krew
ludzka.

Ot! — i taki bóg ze mnie niezdarny.

Tyle, że kłąć umiem, tyle, że widzę, czego
oni nie widzą — niezdarny bóg!...

Podaj mi, starcze, twoje suche dłonie, ochłó-
dzić chcę się...

Tyle zmarszczek... Pewnie cierpiałeś bardzo?
Odsuwasz się ode mnie, jak od widma dzumy
i błogosławisz nie mnie, jeno tamtym. O star-

cze, starcze! Więc nie bolałeś nigdy nad nim?

Więc to jest wszystko tylko snem we mnie!...

A ty głuchy, ty pomarszczony, ty stary sta-
ruszek — nigdy nie płakałeś? i nie kochałeś
nigdy? I tak wiecznie błogosławiłeś? — O, nie-
dobry starcze — podejdź! kamień ci do szyi
przywiążę z litości i zepchnę cię do wody.
Nie! nie! dajcie mi trochę złota do kieszeni,
ustroję się w blaszki i pójdę walczyć o miłość
kobiety.

Już utrefiłem włosy i kwiaty kupiłem na
targu: patrz dziecinko, jak pachnie kwiatuszek...

I powiedz, kobieto, czy tak źle na świecie?

Tam gdzieś wojna — ale to daleko — tam
gdzieś przekleństwa oberwanych — ale to da-
leko, tam gdzieś i tybyś mogła być człowie-
kiem, ale i to daleko! — o daleko. Precz!...

CHIMERA.

Prosił mnie anioł, abym go nienawiści uczył...
Zaprowadziłem go do Rzymskiego kościoła...
Zapłakał...
Pytał mnie uczony, w którym sklepie filozofję kupiłem. — Szynk mu palcem pokazałem. Wszedł i nie wrócił.

Prosił mnie fryzjer o radę. Kazałem mu okraść pryncypała. — Sypiać odtąd nie może...
I tak właśnie jest dobrze. Nieraz chciałbym za cenę modnych peruk sen odkupić u wszystkich fryzjerów i okraść ich z pryncypałów, ale mój uczony z szynku jeszcze nie wrócił i anioł lez nie otarł.

Dziwnaś, moja kobieto. Znienawidziłaś męża — oddaj się innemu. Mówisz, że prostytutce się boisz... Cóż ci na to poradzę? Boję się rozmowy z tobą.

Był młodzieniec... A że młodzieniec był — kochał... Ośmieszyłem go... Znienawidził mnie za to, ale już nie kocha. Szukałem właśnie takich młodzieńców.

Związali mnie i wrzucili do piwnicy. Jacy śmieszni. Myślą, że w piwnicy mniej się litować nad nimi potrafię, niż w salonie.

A kiedy przyjdzie sąd ostateczny, ze smołą

kotły poustawiają i gotować nas będą. Tak się
zdaje niektórym... I zdaje im się, że Bóg smoły —

Boga się wyprzeć może, tak jak oni, i sądzić
ludzi według lat służby państwowej będzie.

Pytali, gdzie moje spichrze? Gdzie moja
żona i dzieci? gdzie pług mój? pytali... Smutno
mi było, ale się śmiałem...

Dziś ja ich pytam, gdzie są ich zasiewy?

Gdzie Bóg i wiara? gdzie miłość?...

I narachowałem tysiąc prostytutek po do-
mach publicznych, i tysiąc głodnych drogę mi
przeszło, i tysiąc więźniów patrzyło na mnie
przez kraty.

Śmieję się, ale mi smutno.

Czci i szacunku żądają. Ten, że miał dziada
w senacie, ów, że na porcelanie zarobił, tamta
jeszcze, że ma koronki modne... przy majtecz-
kach.

Dawniej gniewali mnie, teraz — poziewam.

Za to, gdym raz przez nieostrożność pod
ich oknami nogę złamał, ziewali tylko... Niech
ziewają... Czas przyjdzie — gniewać się będą.

RZEŹBA.

Nakazem mej potęgi własnej wypędzony
z domu, od skał górskich zacząłem odłupywać
granit i oto lata całe rzeźbię człowieka...

A tam — w nizinach, gdzie słychać tylko
z pod nóg mych uciekające potoki, stoją rzeź-
nicy — faryniarze i z ust do ust podają so-
bie słowa.

„Jaka szkoda... Tyle siły ma... Ile też wie-
przy mógłby nam naszlachtować”.

BOLESNA HUMORESKA.

Śni mi się czasem pogrzeb persa — Fir-
duziego.

I widzę jednocześnie, jak niosą przejecha-
nego przez tramwaj chłopca. Strzępy ciała tylko
zostały...

Biegną praczki z kijankami: „czyj to trup?” —
Pytają.

— Firduzi umarł — wołam.

Otaczają mnie wkoło.

— A co za jeden był?

— Firduzi — generał pruski.

Pobiegły wszystkie, byle twarz zobaczyć

i zapamiętać ją na całe życie — „pruski je-
nerał”.

A ty, chłopczyno cicha, śpij spokojnie. By-
łeś może parobkiem parobków, albo Firdu-
zim — jednaka sława: uczcili w tobie pruskiego
generała.

REZYGNACJA.

Jak się znużę, wystrugam sobie biczyk trzcinowy, uwiążę doń talara i będę szukał po świecie hołdów. Bo tak, czy owak zawsze mi na grobie napiszą, ile zjadłem obwarzanków i ile było w moim apetycie cnoty.

POCZUCIE MOCY.

Wyśmienicie, mój blady doktorze! Poznałeś moją chorobę: ja teraz ulecę cię ze zdrowia... Schowaj termometr: nie dla mnie... Szkoda, że twój zgangrenowany pacjent nie doczekał ranka. Wzięlibyśmy się we trzech pod rękę i pokazalibyśmy światu tryumwirat. — Nazwałbym go sfinksem...

Śmiejesz się?! — to dobrze: nie prędko zachorujesz.

Pytasz dokąd idziemy? Wszystko jedno, lekarzu, tu czy owdzie.

Wszak znałeś dotąd wszystkie drogi... Mama pokazała, ciocia, profesor... Tak było...

A jam nigdy nie wiedział... Wieczniem szukał... Błąkałem się...

A kiedym pół świata zeszedł, natrafiłem zaledwie na ślady własnych stóp. Ot i tyle.

Mówisz: „sława...” Dziękuję... Taka tania...

Za jeden poczęstunek, za jeden niuch tabaki... tylko się płaszczyć trzeba... Jużbym nie stra-

wił...

„Społeczeństwo?" — Drwisz doktorze... Niby te kupki złota? A widziałem wczoraj stolarza... Obstalunek na sto trumien... Dla kogo?" — pytam...

— At zbrodniarze...

A to byli ci, co chcieli jakoś tam inaczej...

Niczego sobie — prawda?

„Bóg" — mówisz... Odkryję ci tajemnicę...

Poszedł na spacer oglądać kwiaty, które stworzył nad rzeką. — Pośliznął się i — utonął...

Nie wiedziałeś? — to dobrze! możesz jeszcze zachorować. Ale jest inny... Nie rozpaczaj. Tam — z tych ambon sfruwające gnomy... Po-

klask, jeszcze jeden poklask... jacy oni wymowni!...

Chodźmy! nie lubię cyrku! Wracam do domu warjatów.

DOLOR VITAE.

W beznach błękitu utopiłem oczy, a słońce krwawiło mi się na czole, jak zbrodnia, a ludzie biegli, jak pijani, gryźli się i wyli z bólu, jak szakale; i dokąd idą, nie wiedzieli, i moc własną nogami deptali... A gdym za sobą ich wołał, potracali mnie i bili, jak zbrodniarze, i oto krew mam na czole czerwona, jak zbrodnia, i słońce krwawi mi się na czole czerwone, jak zbrodnia, i tak po wieki wieków jeszcze

będzie...

Pogardzili mną bracia i precz od siebie na
śmietnisko odrzucili, jak wiór niepotrzebny;
z wilgnych łąk zła choroba ku mnie podpełzła,
a śmierć się wije po płocie i szczyrzy zęby na
mnie, i nie wiem, poco to wszystko? i bez-
bronny jestem, jak ten wiór na śmietnisko wy-
rzucony, i tak po wieki wieków jeszcze bę-
dzie...

Tak w piekle pisane było — ból i niemoc —

krzyk rodzącej niewiasty — śpiewy niewolników
ślepych — jęki suki zabijanej obuchem — tak
w piekle pisane było, i tak po wieki wieków
jeszcze będzie...

DEDYKACJA.

Którzy łakniecie i szukacie, którzy nowych
ścieżek szlaki wydeptujecie...

U ramion waszych skrzydła wasze, w dło-
niach waszych moc wasza.

Nikogo nad wami i nikogo poza wami.

Spójrzcie tylko!

Iżbyście byli jako słońca, których dłoń mroku
nie zadraśnie... Iżbyście byli snom podobni, które
się oblekały w ciała w wizjach poetów...

Tak was wymarzyłem, boleśni! takich prag-
nać was będę, o smutni!...

BURZA.

Raz na lat sto, raz na lat tysiąc z mrocznych otchłani, które nad człowiekiem wiszą jak fatum — wstają mary przeczyste o głowach aniołów cudnych, budzą się do lotu białe czyny gołębice... Raz na lat sto, raz na lat tysiąc pękają ciężkie okowy myśli, i człowiek w nagie rzeźby ukochań swoich wpatrzony sam nagi wychodzi na słoneczne tchnienia...

Lecz oto sępy czarne owinęły go wkoło, szelest chmur się rozrósł w hałas gromów...

Burza! Burza!...

Ja wiecznie wojowniczy duch łamię, walczę...

Dziesięć kościołów rozbiłem na miazgę, sto bogów o ziemię powaliłem... A ilekroć bracia moi, te biedne szczenięta nędz wszelkich, zwycięstwa moje zobaczą i umarłe kadłuby bogów nogą dotkną, pędzą za mną, jak oszalałe i krzyczą: „zwycięstwo!” A ilekroć zza mgieł ciężkich wołam słońc nowych przeze mnie dojrzanych,

oni z płaczliwością dzieci mgły swoje stróżują i wiążą moje nogi, abym nie szedł dalej... Ja wiecznie wojowniczy duch, wydzieram się z ich więzów, łamię, walczę...

Burza, burza!...

Sto lat, lat tysiące czekałem...

Otwieram nozdrza na powiewy wichrów, przy
błyskawicach czytam twarze ludzkie... Śniade
wy, w zmarszczki popękane!

Rozwaliły się ciemnych podziemi ściany,
wysypały się z nich istoty ludzkie na słońce.

One, co dotąd łby chowały pod tapczanami,
pragną się teraz zadokumentować.

I wszystko biegnie obnażone i zatraciło wstyd
sztucznych osłonek.

„Hejże-ho! — hajże! dajcie mi kobietę naga,
obmytą z hańby księżych nauk, niech się okręce
jej ciała zapachem i wysączę jady rozkoszy..”

„Ho-hejże! taczki od rąk mi oderwijcie, bo
chcę niemi ścisnąć i tulić, bo lont zapalony
muszę ująć w dłonie...”

„Ho-hejże! sztylet w moich dłoniach błysz-
czy, jak słońce, rozżarzona nienawiść piecze
mnie w skroń, jak czerwone żelazo”.

„Ha-hejże! dziesięć dni głód mnie tarł, a
klecha uczył pełzania, jedenastego zabiłem
bogacza i oto chlupię się w jego krwi, jak
w wodzie...”

Wszystko pragnie się zadokumentować...

Pękają cugle, stosy tacek rozbitych trzesz-
czą na ogniskach, nieszczęsne, bólem wykrzy-
wione twarze patrzą zwrócone w stronę, skąd
ma wypłynąć świt, grom wali, burza stęka-
ją wiecznie wojowniczy duch, ja włóczęga,
idę kurzawą okryty, jak płaszczem, słucham

burzy i burzę roznoszę.

Chodźcie wszyscy, co wam dłonie i serca
pękały, którym nadziei kwiat nie przekwitał,
lecz umierał brutalną nogą zdeptany...

Idę, słucham...

Błogo mi i radośnie... Głuchy fabrykant mnie
popchnął i ksiądz wyklął z ambony, ale klątwy
odpadają ode mnie, jak ciała martwe — jękną,
zastukają pod memi stopami i umrą...

Ludy już ich nie słuchają: oczy wysłały da-
leko, czegoś wypatrują... A oto burza niesie
swoje dzieci, swoje błyskawice...

Po chatach nędzarzy, którym pierś od wes-

tchnień wysychała, kładą się cienie zabitych bo-
gów: wczoraj ich kula dosięgnąć jeszcze nie mog-
ła, dziś — prochy marne... Powciągali wyklęci
swoje łańchmany na się, wolność tańczą...

Odedrzyjcie ręce od pracy, idźcie na ulicę...

Poszli z pieśnią nã ustach... Idą krwawe sztandary,
idzie przyszłość ludów...

Oprzeć się nie sposób... Porwała mnie fala
ludzka i niesie... Żyd i rosjanin koło mnie, miesz-
kaniec tundry syberyjskiej i gór kaukazkich.

Wszyscy my razem... Niema żadnych różnic...

Niewiasty niosą sztandary... Słoneczno nam...

Usta śpiewają i dźwięki pieśni rozbijają się
o mury kamienic, a jest tak cicho, że słycać
szelest myśli... Daleko, daleko przed oczyma
pochodu posuwa się blada suchotnica... Widzę,

jak jej serce bije pod czerwoną bluzką. Czasem odwróci się, długim spojrzeniem dotknie ogorzałych twarzy, jak gdyby dłonią, a od jej wypieków rzucają się łuny na ludzi... I jest bajeczna ta czerwień na twarzach ludzkich i te dźwięki pieśni, ginące w czerwonej dali i naszych myśli purpura... Oplata nas słodycz ekstazy... Jesteśmy hymnem zawieszonym w błękitach,

jesteśmy tęczą złotych marzeń... Lecz oto tęcza w gzygzak się wygięła, jak żmija błyskawicy, pobladły łagodne czerwienie twarzy — jęk — strzały...

Widzę w bluzce czerwonej suchotnicę bladą — ręce wyciągnęła do góry, jak gdyby niemi odjąć miała napastnikom zbroje — zachwiała się, już jej niema. A ja nie wiem, czy to ona runęła na ziemię, czy jakaś chmura czerwona. Płynę, porwany nurtami ludzkich łokci przez pożar tej krwawej chmury — jęk zgasłej suchotnicy gra mi... Owinęły mnie zgrzyty ludzkich jęków, chlupot krwi zagadał... Czasami słyszę za sobą jakiś głuchy trzask, widzę, jak czyjeś usta mamlą ostatnie przekleństwo.

Leżą tam wpółotwarte na ulicy, jak nieczytelna księga — zmiażdżą je kopytami, czy nie zmiażdżą?...

Raźniej, raźniej świeć, strózu prosektoryjny! Musimy wszystką padlinę ludzką przy tej latarence bladej obejrzeć... Oczyma pijanemi wo-

dzisz po mojej twarzy, a ręce kołyszają ci się, że latarka twoja, jak fala podpłynie i ucieknie... Podpłynie i ucieknie...

Jak ci się zdaje, strózu prosektoryjny? gdyby tak wszystkie trupy w ten sposób zabite wstały ze swoich cmentarzy i trumnami uderzyły o armaty żywych — czy starczyłoby knota w twojej latarce dla oglądania tych dziwów?

Ot... znowu zatańcowały ci ręce i zaskakała latarka, a mnie się zwidziało, że tańczą uśmiechy umarłych... Wiesz, kto te zbrodnie rozrzuca po ziemi? oj! nie wiesz, cyniczny dzieciaku — to sam Bóg.

Nie przez to, żeby zły był... Przez nieroztropność tylko... Stworzył swoich pomazańców i sumienia im wapnem wymazał... Stąd krwią się wszystko maże... A ludzie patrzą na zabitych braci z za okna i mówią:

— Niepotrzebnie przerwali sobie post... Mogli jeszcze żyć i pościć po Bożemu...

A inni mówią:

— Za wcześnie sobie post przerwali...

Ale to jest już szczytem buntu.

A prosektorja — spokojnie... Co połkną ciała kilka setek, odczyszczą je trochę, ponumerują i oddadzą cmentarzom... Później na takim grobie wyrasta róża lub bez — idzie się z cudzą

żoną słuchać wiosny na cmentarzu... „Czy słyszysz, kochana, jak bzy pachną?...”

Rażniej, raźniej świeć, strózu prosektoryjny!
Muszę pamięcią pozbierać wszystkie twarze trupów, aby nimi uderzać po oczach patronów mojego narodu...

Sterczą jeszcze na piedestałach mięsiste twarze... Bezmyślność jedyną ich barwą... Duże podbródki zwisają, przywalając ciężarem tysiące słabych. Krzyż ich obroną. Duszą — armata...
Straszny będzie łoskot tych pękających pomników hańby, kiedy pioruny w nie wytną. Słyszę już, jak burza okręca je i skubie im uszy... Nawet nie słyszą tego... Burzy, która życie im weźmie, nie słyszą!... Nic... Głuchoniemość ich majestatem...

Nie widzą, jak chodzę i rachuję trupy... Nie widzą prosektorjów rozsianych na mękach człowieczeństwa... Nie widzą nic... Niewidomość ich majestatem...

A burza idzie...

I czego wy czekacie ludzie? Myśli wasze, jak sokoły uwięzione, trzepocą się skrzydłami o ściany klatek, a pragną zawrotnej wyży. Cudu, cudu

wam trzeba... Ja wiem, na co czekacie... Przyjście mego wołaliście w sobie... Sto lat, lat ty-

siące czekaliście, a kiedym przyszedł nie poznaliście mnie... Tak wam księży oczy przesłonili tak wam chaty zatkali od burzy... I oto widzę mękę waszych czekan i blady lęk przed piorunami... Ludzie, ludzie wy biedni! Idę i burzę wam niosę, co zwiastuje słońca, a wy mnie pędzicie... Co za krzyk nędzy!... Jakie upodlenie... Oto mnie chwycił jakiś wieśniak za włosy i wlecze mnie. Drugi i trzeci za nim... Tłum cały... „Odszczekaj Boga, bo ci księdzem zguchotamy kości...” Wloką mnie... Chcą topić... A jam słyszał, że włóczęgów grzeją przy własnych ogniskach... Ludzie, ludzie wy biedni!... Cisza... wszystkie myśli padły na kolana... Mówca tłumów idzie... W jednej ręce książka do nabożeństwa, drugą księdzem się podpiera... Nienawiść rygle od serc mu odwala... Żydów i niemców każe nienawidzić, wolność i burzę każe nienawidzić, złoto i jądło każe kochać — nic więcej... I oto ukłękły przed nim czapy z pawimi piórami, jak przed papieżem nienawiści, bo czują w nim brata swej nocy... „Żrej, chłopie!...” Ludzie, ludzie wy biedni!

Huragan nienawiści klnącej zaskoczył mi drogę, jak bestja krwi łaknąca... Gryzie mnie w oczy i w uszy, jak dym, wsiąka we mnie, jak deszcz... A ja idę wśród tego dymu i deszczu, odrzucam od siebie klątwy i złożeczenia: wiem, że słońko moje tutaj przyjść musi, choć go

niema jeszcze... Cicho, kropla po kropli, padają mi na czoło łzy ludzkie: słyszę je w żalu i nienawiści, w groźbach i poniżeniu... Jeszcze burzę rozszaleć potrzeba, jeszcze rozczernić gromy, aby łzy te falą grzmotnęły w dachy więzień, — jeszcze burzę rozszaleć potrzeba...

A jeśli burza ścichnąć zapragnie, posłuszna biskupim jękom, ja wtedy kształty grubego szlachcica wezmę na siebie, usiądę na przyzbie chaty wiejskiej i będę ją burzę, jak psa, drażnił dopóty, aż oczy jej się krwią zaczerwienią... Albo wyjdę, jak upiór, na słońce, pozwolę wszystkim pijanych i kalekich, szalonych i podeptanych, orgję buntu z nimi zatańczę, jak się tańczy wyuzdaną modlitwę w salonach, i rzucę takie przerażenie wkoło, że zmuszę do lotu orłów...; Ja wiem, ja wiem: budzą się już w moim narodzie ptaki dumne rodu

królewskiego — tylko burzę rozszaleć potrzeba.

Sto lat, lat tysiące czekałem...

Próżno mnie nęcisz, starcze, w cieniu jatek mięsnych... Nieprędko, nieprędko jeszcze spoczną — w cieniach barykady siądę wtedy, tak jak się siada w akacji lub kasztana cieniu, i będę śpiewał tym, którzy umrzeć mają... O jednym, jedynym Bogu: o potędze czło-

wieka... Dziwnie oczy ludziom odskakują od
mojej pieśni... Zmętnieją, przerażą się i cofną...
I oto myśli wynoszę kędyś ponad głowy
i widzę, jak pode mną pełza to mizerne i brud-
ne, to złe — wszystko... Widzę braci moich
czerwonych krwią i czarnych od ślepoty — nę-
dze ich wytarzały w błocie, czad zbrukał... Tam
mewy moje białe, myśli alabastrowe, oślepię
z bólu, zepchnięte na dół, podarte leżą i po-
łachmanione na strzępy, — brudne, jak na bar-
łogach szpitalnych, ulicznice...

Depce je tłum pijany wódką i okrzykuje za
swoje siostry.

— Daj no mi, przyjacielu, noża, bo sąsia-
dowi muszę urznąć głowę i zabrać mu pienią-

dze za sprzedanego wieprzka. Niech żyje wol-
ność!...

— Nie ruchaj się, nie ruchaj, przybłędo,
ino oddaj, co masz, bo teraz sprawiedliwość
nastała.

— Wódki mi dajcie, bo mam ogień w be-
bechach. A ty, ścierwo, siadaj i pij ze mną,
a jakeś to sam mnie uczył, nie wstyduj się
mnie teraz... Jak równość, to równość...

— Alleluja! a widzicie: mówiłem wam, że
ludzie wolności niosą wam niewolę... A kysz,
a kysz! Do spowiedzi dziesięciny znosić, jaśnie
dziedzica słuchać... W imię Ojca i Syna... A pa-
miętaj tam, Grzegorzu, sprzedać krowinę i przy-

nieść resztę za pogrzeb.

— Alleluja! precz z ludźmi wolności...

— Niech żyje wolność!

— Widłami! widłami go, kumie!

Czarne koszlawe mary... Nóż i krew im na imię... Wyszpiegowały wolność i chcą ją okraść zaraz, tak jak opasłe mnichy okradły Chrystusa...

— Niech żyje Chrystus!

— Niech żyje wolność!

Dwa stada rabusiów... Mnichy i złodzieje...

A teraz splotły się w tan i dalejże! W imię wolności i Chrystusa przeciw wolności...

Idę, słucham... Goni mnie zewsząd wycie bestji ludzkiej... Człowiek oderwał ręce od cepów, umoczył je we krwi, a teraz kłapią mu zęby na widok żywego ścierwa... Gryźć, a gryźć, a motykami dobijać ostatnie oddechy, byle raz się zasycić...

Pędzą...

Sam proboszcz uczył ich tego.... Później szlachcic uczył... Obaj teraz wparli się nogami w ziemię i batożą ich Chrystusem.

— Niech będzie pochwalony, wielebni. Wyrzniemy naprzód ludzi wolności, a później żydów pod topór.

Pędzą...

Wszystko im jedno, kogo i na co rznąć:

muszą wykapać w krwi całe tysiąclecie pa-
pieża...

Omroczałe ich twarze rzucają ponure cie-
nie. Samo słońce, zda się, niezdolne ich ogrzać...
W oczach ani jednego uśmiechu — wszystko
wygasło.

Siwy mróz chodzi po tłumach, smaga wich-
rem i śmieje się...

— Do mnie, do mnie plemię ludzkie. Może
w pazury złapię kogo i oddam śmierci.

Z chat, ze stodół, zewsząd — jak na od-
pust — płyną tłumy. Na czele ich oprawcy.
Kroki ich szorstkie, ponure, pewne siebie. Z za-
butów sterczą krótkie batożki rzemienne: sym-
bol ideałów...

Jakaś posepna groza wieje od nich... Idą
w okrutnym milczeniu... Nie patrzą na siebie,
jeno oczy utkwione mają w przeciągłym wyciu
błękitu rzuconego nad czarnym borem.

Lecz oto nagle wyciągają z chaty jakąś ko-
bietę.

Silne łapy omotały się o jej włosy.

— Z mężem nie żyje... Trzeba jej pięćdzie-
siąt... Sąd, sąd...

Rzucili ją nienawistnie na śnieg... Zdzierają
cienką spódniczynę... Raz, dwa — raz, dwa...

Jękliwe, głuche wycie ludzkie...

Cieszą się starce, radosna patrzy młodzież,
kobiety z pod chust grubych wychylają twarze

roześmiane pełnią szczęścia. „To mi sądy... Dzień
sprawiedliwości nastał na grzesznice...”

Śmieją się...

— A bić ją mocniej!...

Furczą baty... Jęk po uszach wali, jak zdy-
chającej suki skomlenie, a budzi tylko śmiech
i wzgardę.

Lecz ciszej, ciszej! Okrwawione ciało nie
podskakuje już i nie drży, omdlałe leży na
śniegu, jak drewno. Na ślicznym, białym śniegu
prześliczne młode ciało oszpecone knutami nie-
nawiści ludzkiej.

Wnoszą ją teraz do izby męża,

— O la Boga, la Boga — zafrasował się.

— A teraz jemu pięćdziesiąt — krzyczą...

Chwytają za kołtuniasty łeb, szamocą się —
on rękami ich od siebie odpycha, aż trzeszcza
ramiona, jak dach gonciany.

— Wiązać podragę.

Zarzucili postronek... Związali... Obalili na
ziemię... Już go na śnieg wynoszą, już mu zdzie-
rają ubranie.

— Niech żyje sprawiedliwość!...

I znowu jęk... I znowu śmiech sąsiadów i ra-
dość,.. Patrzy ich Chrystus na to z drewnianej
kapliczki i Przenajświętsza Paniienka i cieszą

się, że chłop polski z pokoleń w pokolenia krzy-
żem świętym a batem się pieczętuje.

A baty furczą w powietrzu, aż bolą uszy,
a jęki coraz głośniejsze dzwonią...

Oburącz ściskam głowę...

Pękają we mnie wszystkie myśli... „Ludzie!
Ludzie!” Zda mi się, przez jakiś sen bolesny
idę... Mar umęczonych mnie obkoczyły roje —
duszą się i dławią, szamocą i przeklinają. Co
spojrzę na kogo, jad nienawiści w oczy mi
wrzuca; co dotknę kogo — śmiechem mnie
odepchnie... I słyszę tylko krzyk tych umęczo-
nych mar, krzyk bitego wiekami człowieka.
Idą mary cichym korowodem... Jakiś czarny
parobczak na skrzypeczce im przygrywa...
Bębni huczny bębenek z dzwoneczkami...
Wyszedł księżyc, stanął ponad lasem, jak
ten upiór, co gdzieś w borach wyje... Mróz
pojęka... A na skrzypeczce grają: „oj, ta
dana...”

I znowu cisza i znowu szelest pijanej myśli.

— Bić złodziei — ktoś warknął.,.

— Niech żyje wolność — zawyli...

Wylękała się jakaś staruszka, co syna zło-
dziejem miała... I, zda się, całą białość od księ-

życa na twarz wzięła i tak pomalowana bla-
dością stanęła jak upiór, co grozę na żyjących
niesie.

— Oj reta, reta! znowu rządy polskie wracają. Znowu bić będą...

A krzyk ten uderzył w twarze inne kobiety. Przeraziły się wszystkie żony i kochanki złodziei, zaczęły biec do chat, aby ukryć ukochanych.

— Znowu bić będą!... Znowu bić będą!...

Zajęczało...

Ale tłum zagroził uciekającym drogę, rozdeptał płacz lamentujących i stanął silny pięścią, nieubłagany...

Ten i ów chwycił za żerdkę, inni kijasów i pał szukali, lub wydzierali z płotów kołki...

Wtargnęli gromadą do jakiejś chaty — huknęli — przez chwilę cisza była — ktoś drzwi pośpiesznie podpierał od wewnątrz — runęli na nie plecami, podważyli kołkami — nagle pękły zawiasy — drzwi odskoczyły i padły na ziemię, jak zabite zwierzę.

Z pod łóżka wyciągnęli bosego człowieka.

Krew mu z twarzy uciekła, oczy chował przed ludźmi, bo zdało mu się może, że tem

chowaniem ukryje siebie od nienawiści i zemsty... Czuł ją rozwieszoną nad sobą, jak straszny pożar, jak powiew śmierci, jak mróz trzaskający za chatą... I uczuł, jak ta nienawiść mrozi go i piecze jednocześnie i widział, że za chwilę coś potwornego się stać musi, i drżał jak listek na wietrze...

— Wieprza i beczkę mi ukrateś — mówił jeden.

— Butyś mi ukradł tego roku — mówił drugi.

— Złodziei mi na konie naprowadziłeś...

— Dwa motki przędzy ukrateś...

— Psa mi otrułeś...

Nogi się chwierutały pod nim, serce o kamiziele tłuło.

Dwa chłopcy mocne chwyciły go za gardziel i obaliły na śnieg — zaczęła się młóćba. Po łbie a po nogach, po zębach a przez oczy...

Kije i pały, postronki i kołki... Słysząc, jak zęby wybijane widłami jęczą, — słysząc, jak łamane trzeszczą kości.

A kiedy poczuli, że jęk bitego śmierci już tylko woła, wspomnieli, że śmierć szybka jest zbyt dobroczynną i zbyt litościwą i wstrzymali

razy. Podnieśli go i postawili na połamanych nogach, sznurami do płotu przywiązali...

— Naści! zdychaj na mrozie, podlecu!

Zwrócili się do chat... Kto wie? innego może już biją, a może modlą się, jak zwycięzcy na trupach wrogów.

A jemu nagle się wydało, że jakaś mara złota mu zawiesza ręce na szyję, i uczył rozkosz nieobecności ludzkiej i błogą senność...

Chciał jeszcze raz spojrzeć na ten świat drogi, a straszny, który go nic prócz złodziejstwa nie

wyuczył, ale przez dwa puste oczodoły spły-
nęły duże łzy krwawe... I znowu zdało mu się,
że wybite oczy tarzają się gdzieś po ziemi,
a śnieg wpycha się im w źrenice, które nie sły-
szą nic prócz deptań ludzkich. I taki żal go
ogarnął za oczami zdeptanemi, i taka litość,
że chciał wyciągnąć po nie ręce i nie dozwo-
lić ich ludziom deptać...

Lecz ręce zawisły bezwładnie i były już
także senne.

A w wiosce muzyka grała...

Ci, co deptali, co bili i pomstowali, Nielito-
ściwi a straszni — jutro będą pewnie bici i dep-
tani przez innych, tak jak bito ich i deptano

wczoraj i przedwczoraj, tak jak tysiąc lat temu
ich bito.

Nic to nie szkodzi... Byle zmora pragnień
nienasytnych do chaty nie zaglądała, byle ludzką
juchę rozwątrobić.

— Niech żyje wolność! — krzyczą jedni...

— Niech żyje Polska! — krzyczą inni.

A na skrzypczce grają: „oj ta — dana...”

Idę, słucham...

W oczach mam tyle ognia, że wszystko
czerwonym mi się wydaje. Ludzie i domy, niebo
i ziemia — krew jedna... Purpurzą się chaty
w płomieniach, noc rozgorzała od pożogi, i na-
wet księżyc poczerwieniał, jak rozpalona cegła,
i stanął nad krwawym lasem krwawego krzyku

pełen. I oto po czerwieniach śniegu tarzają się ludzkie oczy jakież wyolbrzymiałe i opuchłe bólem — jęczą źrenice czerwone, pełne przerażenia.

Sto lat, lat tysiące czekałem.

A teraz widzę przez rozdarte oczy podarte me sztandary drogie i rozdeptany brutalną stopą przezczystych snów mych biały Jeruzalem.

To moje słońce w rynsztoku.

Nic, to głodni i niecierpliwi, poparzeni i nieugięci! Nic to. — Tylko droga w świt się pogarbiła, tylko ścieżki się wygięty równe, tylko nasz gościniec się wydłużył na dni tysiąc, na dni kilka tysięcy.

Idźmy głośno!... Niech nas noce usłyszają, niech nas ujrzą portyki gotyckie, niechaj zadrzą marmury katolickie...

Popatrz, popatrz, synu wolności, jak jezuicki Chrystus się wyszczerbił: kamienne mu pękają ręce, z nóg odkruszona spadła politura — kto je teraz całować będzie?... Przyszli jeszcze do niego kupcy, jak do brata, jak do kupca starszego i rozsądnego, żeby złotych worów im bronił, ale on, z serc wypędzony, nie umie już nawet bronić przedpokojów... Poklepał go po ramieniu arcybiskup jeden i drugi, na czarną kawę papież zaprosił, pomoc przyrzekają, poparcie... „Ręka rękę niech myje...” I oto idzie Chrystus

jezuicki w bullach a orędziach do narodu, w listach pasterskich. Kroczy przez ulice miast ludnych z bagnetem a szablicą w rękę, dźwiga ciężkie armaty, ostrogami podzwania. Jeśli głodny jeść krzyknie, on go po zębach

trzaśnie, aż mu oczy na całe życie wywichnie; jeśli skrepowany na sińce swoje, a na powrozy się poskarży, — kolbą mu żebra połamie. Idzie Chrystus, idzie Chrystus jezuicki. Polska ziemia stopy mu całuje, składa w jego sakwach podróżnych Częstochowy i Kalwarje, świętopietrza... Później cicho, jak człowiek opadnięty przez zbójców, grzbiet chłopski pod biczem nadstawia. Polska ziemia, ziemia biczowników.

Idzie Chrystus, nogą depce maluczkich, głodnym każe się sprzedać w niewolę, skrepowanym błogosławić powrozy. Jednym tylko bogaczom dłoń podaje przyjazną, siada z nimi przy stole, jak rajca, Boga z nimi szachruje... Za Chrystusem-giełdźiarzem tłoczy się ciżba biskupów, stada proboszczów się cisną...

Przywlekli z sobą zgraje utrzymanek i bękartów: „płaszczem swoim osłoń je, Chryste!”

Poustawiali wory zrabowanych pieniędzy: „pobłogosław je, Chryste!”

Poukładali stosy zabitych ewangeliją i karabinami ludzi: „potęp ich, Chryste!”

Chrystus z twarzą przesłódką na swych

ukochanych proboszczyków spogląda — „co

wy zwiążecie na ziemi, sam szatan nie rozwiąże...”

A więc wiązać ramiona i ręce!...

Zdaje im się, że burzę za łeb złapać można, jak potulnego organistę, i zmusić ją do śpiewania gorzkich żalów na śmierć gospodyni.

Ale dumne pioruny już nie dadzą się żegnać modlitwom komedjantów, walą w same świątynie, aż się trzęsą arkady.

Burza, burza!... Sto lat, lat tysiące patrzyłem na upodlenie mych braci zakutych w kajdany konfesjonałów.

Cicho słońca wstawały do życia i cicho marły w cieniach ciężkich katedr. Kto niewolnikiem być nie chciał — ginął na stosie. A teraz te stosy dawne rozpały ogień, przerzuciły płomień od Sekwany aż po Wisłę, burzę grzmocą po karku...

Hop — hop!... dalej wichuro!...

Biegną w przyszłość młodzieńcy, zaopatrzeni w wizję świtu, gawieź księza ewangelją ich straszy. Ale oni, dzieci tych gromów, synowie wichrów i płomieni, nie patrzą już w stronę rozchwianych na wietrze kościołów...

Nawet blade wyrostki, nawet dzieci już z nimi.

Płaczą matki pod amboną chowane, łamią
ręce ojcowie do „świętego spokoju” nawykli,
arcypasterz wyklina, — dzieci polskie za burzą,
dzieci wichrów za burzą iść muszą.

Hop — hop! dalej wichuro!...

Po ziemi, po kałużach brudnych, po nie-
wietrzonych nigdy suterenach wiją się jeszcze
resztki niewolników, karmionych odpadkami
ewangelji. Pod progiem plebanji, pod kapliczką
z drewna, jęczy dola chłopska, przygnieciona
obcasami wielebnych, w pierś się uderza z ca-
łej mocy — „odpuść mi, Panie!”

Na tronie rzymskim rozsiadł się wygodnie
pan tych jęków i śmieje się cichutko śmiechem
żmii.

Ale w ziemi polskiej gromada klęcząca pod
progiem plebanji nie słyszy śmiechu tego, pa-
trzy z wiarą w zaufane oczy Chrystusa.

Tylko z nieba spadła nagle błyskawica i uka-
zała rozmodlonym oczom niewolników drugie
stado niewolników.

Pijane postami, blade, umęczone oczy kładły
się jeszcze niżej pod stopami drewnianych boż-
ków, i anemiczne wargi jeszcze goręcej piły
olej sakramentów.

Dwie gromady ujrzały się i przeklęły się odrazu.
Chrystus rzucił ich łbami o łby, pięściami
o pięście. Walczą o kościoły i plebanje, wal-

czą o swoich oszustów ewangelji. Już kłoni-
cami rozpruwają sobie brzuchy, już krew bu-
cha z gardzieli,

Syn ojcu żebra poprzetrącał, płacze matka
na syna, że jej wybił oko.

— Nie damy, nie damy naszego Chrystusa,
Ząb za ząb, oko za oko... Wypędzimy lub po-
mordujemy heretyków,

A drugie stado warczy:

— Śmierć katolikom.

Ludzie zębami gryzą się, jak psy, kolanami
dogniatają słabe piersi, — chrzestczą kości,
krew bryzga na czoła... To nic... to tylko wiara
krwią chlupnęła goręcej, to tylko Rzym wybił
parę setek żeber więcej, — tylko ekstazy au-
reola opromieniła czoła świętym męczennikom.

Idę, słucham...

Teraz wiem już, że dla mnie, włóczęgi, świt
za rano wstawał w oczach; że są ciche pod-
ziemia kościelne, w których mroki chodzą po
grobowcach; że po kruchtach klasztornych ta-
rzają się jeszcze haki do wieszania ludzi... Ale

wiem też, że są w przyszłość zapatrzeni mło-
dzieńcy, którzy niecą światła w podziemiach;
że są dzieci, co już mówić litanji nie umieją...
Za dni tysiąc, za dni dziesięć tysięcy, wróc!
fala jęczeń w czasie gromów, błyskawice prze-
lecają nad światem, i padną Rzymy hańby
ludzkiej... Za dni tysiąc, za dni dziesięć tysięcy...

Tylko burzę rozszać potrzeba...

Głośniej krzyczcie orkany!...

Leci krzyk wasz, jak tententy tabunów —
coraz dalej, rozpiął grzywę na przestrzenie —
coraz szerzej; coraz bliżej, coraz głośniej się
wznosi...

Słodko mi jest... Poję się hukem gwiazd
spadających na ziemię, rzeźwi mnie mowa błyskawic...

Grają jakieś precudne płomienie, oczy
oczom je podają młodzieńców, a one rozblękitnione
biegną coraz hyżej... Stróże przeszłości
opadną je czasem pełni lęku, zawadzą of nie
nogami, poparzą się i uciekną.

Jest smutne cmentarzysko żywych nieboszczyków,
którzy czekają powrotu swego ży-

cia — okna przed burzą pozasłaniali — drżą
obaw pełni...

Śnią im się w cichych grobach kwiaty
niegdyś żyjące, kwiaty z nadmiaru wrażeń
zdychające teraz, jak chore szczenięta. Śni
im się młodość wtóra i urodziny przeszłości
i tak wędzną w swych cichych grobach
zasłoniętych od burzy.

I wydaje się im w przedśmiertnej agonji,
że to jedna tylko fala rozbrykana wniosła
hałas w miejsca zabronione przepisami:
przyjdzie miejski sekwestrator i przykuje
je łańcuchem

do morza.

Śni im się w cichych grobach.

Nie wiedzą, że to idzie Bóg pełen potęgi.

Wszystkim kwiatom, co truły, umierać każe...

Wszystkim bogom, które wieszczom się śniły,
wstawać każe... Wszystkim aniołom młodym ro-
dzić się, a starym umierać... Wszystkiemu życiu
się przeistoczyć...

Burza! Burza!...

Łamią się stare kształty, jak zbutwiałe mie-
cze, przeciera oczy człowiek z długowiecznego
zbudzony snu. Dnie jego czerwone są pożoga,
pod nogami ma trupy. Anioł zagłady z mie-

czem chodzi za przeszłością, przeszłość z mie-
czem umierającej zemsty chodzi za człowie-
kiem...

Dobijają się... Moce idą na moce, krew we
krwi się topi... A ja, włóczęga z włosami osma-
lonemi od piorunów, z oczami w zbrodniach
wykapanemi, przedzieram się przez błyskawice,
jak przez gąszcze lasów, i wołam wichrów...

W oczach mam kałuże krwi, trupy się ra-
mion mych czepiają. Widzę poświęcenie pło-
mienne idące na szubienicę; widzę zdradę uta-
rzaną w śmierci haniebnej...

Podobno za każdego zdrajcę zabitego dzie-
sięciu zdrajców się rodzi, podobno za każdego
bohatera powieszzonego stu bohaterów wstaje.
Zbrodnia zbrodni rozsiewa, bohater boha-

terów tworzy...

Wstają wizje przecudne; wstają mary o oczach
błyskawic; wstają czarne, złe upiorzyce; wstają
straszne potwory, — idą, jęczą, jak morze...

Coraz bliżej, coraz szerzej...

Idę, słucham...

Tyle mi się w oczach już zmieniło... Tyle dę-
bów burza powaliła... Tyle kwiatów rozdeptała...

Jakby pobożowisko wkoło...

Tyle grobów, tyle wkoło szubienic... Tyle
myśli niezabitych przez celników, tyle kwiatów
rozkwitłych na nowo.

W oczach łzy mam...

Trzeba teraz łzy przekuć na miecze, na
płomienie, na kwiaty i pieśni...

Siejmy kwiaty!...

A gdy kwiatów nam zbraknie, posiejemy
miecze i płomienie, aby słońce zeszło do pod-
ziemi...